Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA UMCS

Polityka kadrowa

Romuald Poliński

str. 2

TWÓRCZOŚĆ CZESŁAWA MIŁOSZA

str. 6—7

O premierze „Cyda" w teatrze lubelskim

pisze

Maria Bechczyc-Rudnicka

str. 8

kamena

LUBLIN 9 XI 1980 NR 23 (717) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

DYSKUSJE „KAMENY"

Samorządność uczelni

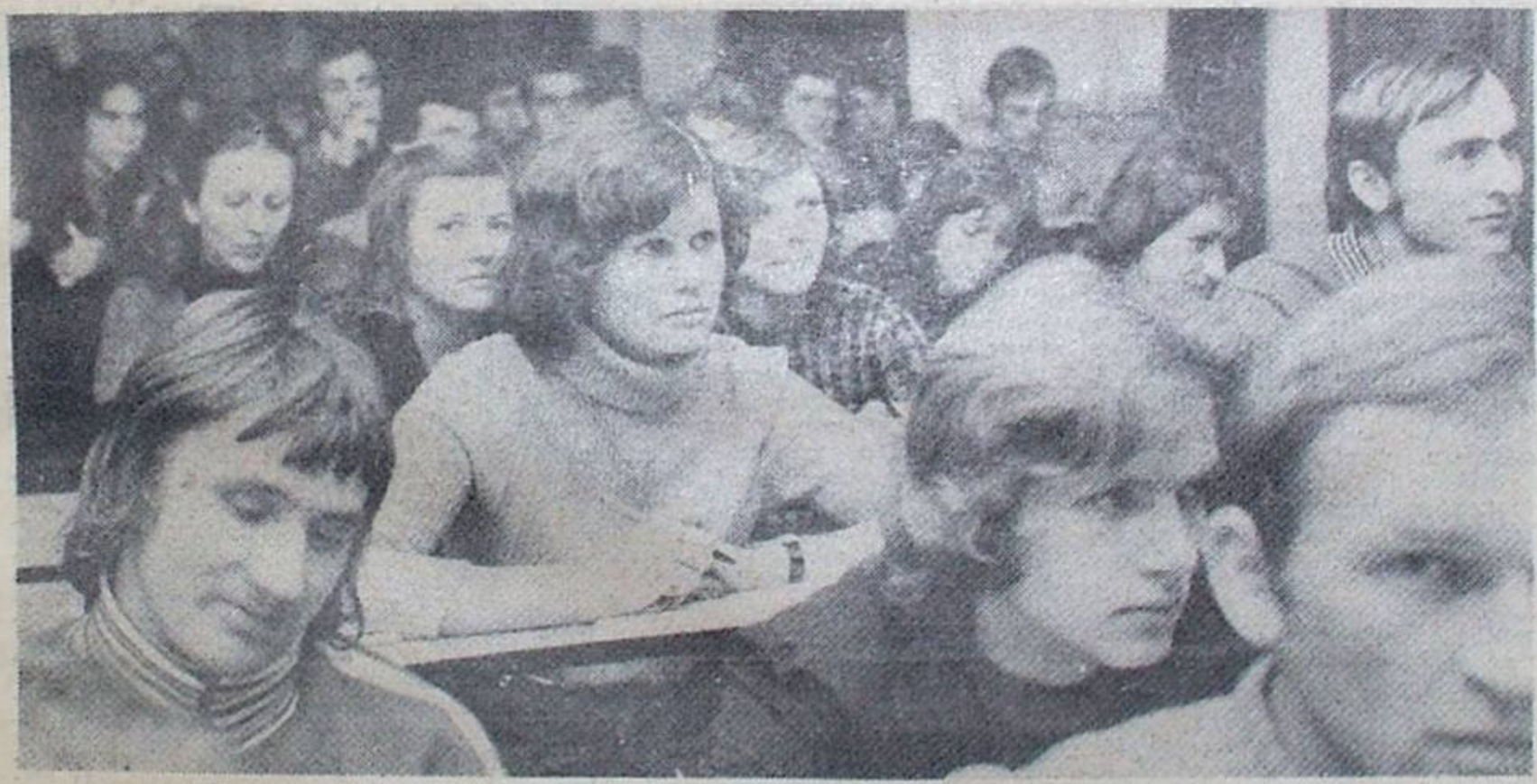

Fot. Waldemar Stępień

Samorządność szkół wyższych — oto główny, choć nie jedyny temat dyskusji redakcyjnej, w której wzięli udział naukowcy i studenci uczelni lubelskich: prof. dr hab. Tomasz Borkowski (Akademia Medyczna); student i działacz Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Krzysztof Gawęda (Akademia Medyczna); starszy asystent i działacz Uczelnianego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność", mgr Lesław Paga (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej); student, przedstawiciel Niezależnego Zrzeszenia Studentów Grzegorz Piotrowski (Politechnika Lubelska); dr Romuald Poliński (Oddział Wojewódzki Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego); doc. dr hab. Zbigniew Sobolewski (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej); dr Kazimierz Stelmach (Politechnika Lubelska); prof. dr hab. Jerzy Szczypa (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej; doc. dr hab. Iwo Wojciechowski, (Akademia Rolnicza). Redakcję reprezentował Ireneusz J. Kamiński, który tekst dyskusji przygotował do druku.

I. J. Kamiński: — Witam panów i proponuję przedyskutowanie tych problemów, które od dłuższego czasu są przedmiotem rozważań i polemik w środowiskach akademickich, powodem troski, zniecierpliwienia, irytacji, a często i goryczy dla ludzi realnie i rzetelnie oceniających rozwój sytuacji w naszym szkolnictwie wyższym. Chodziłoby zatem o takie kwestie, jak: funkcjonowanie ciał kolegialnych, tryb nadawania stopni naukowych, udział młodzieży w życiu uczelni, uwarunkowania badań naukowych i tym podobne...

T. Borkowski: — 32 lata pracuję w szkolnictwie wyższym, przeszedłem różne formy jego organizacji. Dzisiaj zabiegamy, i słusznie, by typowanie oraz wybieranie rektorów, dziekanów czy kierowników zakładów odbywało się wewnątrz uczelni, na forum sena-

Dokończenie na str. 4—5

Marian Janusz Kawałko

MIŁOSZ

nie wierzę nawet własnej skórze
ani gołębiom wspólnej mowy
nie wierzę w potop gdy
się chmurzy
nie wierzę katu że
da głowę

nie wierzę wprost
nie wierzę obok
nie wierzę temu co rówieśne
ni łotrom którzy walcząc z sobą
w oczy kpią z Boga równocześnie

nie wierzę ścianom gniewnej celi
gdy lwa trzymają w pogotowiu
nie wierzę złu bo
się wybieli
nie wierzę dobru —
bo jest w zmowie

nie wierzę w żaden list żelazny
dla szarf
czerwieni
i sloganów
nie wierzę że się komuś marzy
deska ratunku
zakazana

nie wierzę łzom
nie wierzę oczom
fałszywej głębi ni krynicy
nie wierzę diabłu gdy w karocy
bezgłośnie kusi zakonnicę
nie wierzę lilii
ni pogoni
nie wierzę z nim
nie wierzę z tobą
nie wierzę żadnej świata stronie
póki donikąd wszystkie wiodą

to nie odwaga
ani trwoga
to tylko obraz mojej
kniei

bo w kogo wierzyć
oprócz Boga
który — widzialny —
nie istnieje

Lublin, 9—12 X 1980

POLITYKA KADROWA

Romuald Poliński

„Kadry decydują o wszystkim"
W. I. Lenin

UPRAWNIENIA PZPR do określonych decyzji kadrowych przejawiają się w posiadaniu nomenklatury kadr, to jest wykazu stanowisk, których obsadzenie wymaga rekomendacji lub zgody odpowiednich instancji partyjnych. Nomenklatura kadr powinna być dla instancji partyjnych jednym z podstawowych środków gwarantujących powoływanie na stanowiska kierownicze w organach gospodarczych i innych ludzi ideowych, wysoko kwalifikowanych, działających zgodnie z interesem społeczno-politycznym i gospodarczym kraju.

Nomenklaturę kadr posiadają wyłącznie: Komitet Centralny, komitety wojewódzkie, komitety gminne i równorzędne komitety miejskie, a także niektóre szczegółowo określone komitety zakładowe wielkich przedsiębiorstw. Wyższe instancje partyjne mają prawo kierowania kadr na stanowiska objęte nomenklaturą niższych instancji, a także uchylania decyzji personalnych niższych instancji. Uprawnienia te są zbyt szerokie. Statutowa zasada samodzielności organizacji partyjnych wymaga sprowadzenia uprawnień wyższych instancji partyjnych do nadzoru nad prawidłowością decyzji kadrowych niższych instancji.

Nomenklatury kadr nie należy rozumieć w ten sposób, że PZPR obsadza stanowiska kierownicze w organach gospodarczych wyłącznie działaczami i specjalistami rekrutującymi się z szeregów swojej partii. Na odpowiedzialne stanowiska kierownicze w organach gospodarczych kierowani są nie tylko członkowie PZPR, ale również w pewnym zakresie przedstawiciele sojuszniczych stronnictw politycznych (ZSL i SD) oraz bezpartyjni.

Umacnianie się tendencji do obsadzania stanowisk kierowniczych w gospodarce socjalistycznej wyłącznie członkami PZPR prowadzić musi do rozluźnienia więzi partii z ludźmi pracy, do oderwania kadr kierowniczych od załóg pracowniczych, do zawężenia możliwości doboru kadr na stanowiska kierownicze. Wszystko to może powodować negatywne następstwa o charakterze nie tylko politycznym, ale również gospodarczym, obniża bowiem efektywność poszczególnych podmiotów gospodarujących i całej gospodarki narodowej.

W polityce kadrowej partii występowała w pewnych okresach skłonność do nadmiernego rozbudowywania nomenklatury kadr, obejmowania nią nie tylko stanowisk kluczowych, ale również mniej znaczących. Skłonność ta oznacza preferowanie przez niektóre instancje partyjne administracyjnych metod regulowania spraw kadrowych i jednoczesne niedocenianie roli pracy polityczno-wychowawczej z kadrami; oznacza więc wybieranie łatwiejszych metod, które jednak w dłuższym okresie czasu i w warunkach budowy rozwiniętej gospodarki socjalistycznej stają się dalece niewystarczające.

Nadmiernie rozbudowana nomenklatura wikła instancje partyjne w niezliczoną ilość decyzji personalnych i ogranicza samodzielność kierowników zakładów, fabryk, zjednoczeń, urzędów czy instytucji. Możliwość dobierania sobie współpracowników jest jednym z podstawowych uprawnień kierowniczych, decydujących o pełni odpowiedzialności za funkcjonowanie i rozwój przedsiębiorstwa, zjednoczenia, resortu, województwa. W związku z tym wysuwane są postulaty, aby resortowe organa administracji gospodarczej ograniczyły wiążącą konsultację w sprawach kadrowych z organami wykonawczymi instancji partyjnych do obsady stanowisk kluczowych. Ograniczenie szczegółowej reglamentacji spraw kadrowych umocni kierowniczą rolę PZPR wobec gospodarki socjalistycznej, umożliwi bowiem koncentrację uwagi i sił instancji partyjnych zarówno na pracy polityczno-wychowawczej z kadrami, jak na kontroli ich działalności.

Wzrostowi samodzielności i odpowiedzialności kierowników organów gospodarczych sprzyjałaby zmiana obecnej relacji, jakie zachodzą w sprawach kadrowych między organami państwowymi (gospodarczymi) a instancjami partyjnymi. Organa gospodarcze powinny zwracać się w sprawach kadrowych nie bezpośrednio do instancji partyjnych, lecz do swych jednostek nadrzędnych. Dopiero one powinny zwracać się do odpowiednich dla swego szczebla instancji partyjnych. Odciąży to instancje partyjne od zajmowania się bieżącymi problemami pracy organów wykonawczo-zarządzających, umożliwiając za to ich kontrolę z niezbędnego dystansu i w dłuższym okresie czasu. Rozwiązanie to uniemożliwiłoby zastępowanie organów gospodarczych przez instancje partyjne w sprawach kadrowych, przeciwdziałałoby występującemu często w praktyce paralelizmowi w pracy partii i państwa oraz przejmowaniu odpowiedzialności przez instancje partyjne za decyzje kadrowe, które podejmują organy gospodarcze. Utrudniałoby to i ograniczało zjawiska przerzucania przez aparat gospodarczy tej odpowiedzialności na aparat partyjny.

Istotnym warunkiem sprawowania przez partię kierowniczej roli wobec państwa i gospodarki socjalistycznej jest prawidłowe funkcjonowanie w życiu wewnątrzpartyjnym mechanizmów zapewniających pozytywną selekcję kadr i działaczy.

Statut PZPR stanowi jednoznacznie, że „wszystkie kierownicze władze partii od najniższych do najwyższych są wybierane w sposób demokratyczny". W Wytycznych Biura Politycznego KC PZPR z października 1972 r. w sprawie nomenklatury kadr instancji partyjnych stwierdza się, że władze niższych instancji partyjnych objęte są nomenklaturą wyższych instancji partyjnych. Oznacza to, że obsadzanie stanowisk we władzach partyjnych niższych instancji wymaga rekomendacji lub zgody wyższych instancji partyjnych. W praktyce wyższe instancje wyznaczają członków władz niższych instancji, których funkcja sprowadza się do biernej akceptacji, do roli stempla. W takiej sytuacji członkowie władz różnych instancji czują się odpowiedzialni nie przed swymi wyborcami, lecz przed władzami wyższego szczebla, odrywają się od wyborców, wyobcowują się, wymykają się spod ich kontroli. Ten centralistyczny system powoduje, że kryteria przydatności merytorycznej (kwalifikacje polityczne, moralne i fachowe) kadr partyjnych zastępowane są przez kryteria lojalności i sprawności w wykonywaniu dyrektyw płynących nieustannym strumieniem z centrali.

Demokracja wewnątrzpartyjna jest zasadniczą przesłanką demokracji socjalistycznej w ogóle. Rozprzestrzenianie się systemu mianowania członków władz partyjnych nieuchronnie grozi spadkiem autorytetu tych władz w samych organizacjach partyjnych i wśród społeczeństwa, naruszeniem zasad sprawiedliwej oceny aktywu, tworzeniem się w sferze życia partyjnego tzw. układów personalnych. Dlatego trzeba przeciwdziałać praktykom kooptacji do władz instancji partyjnych.

Jednym z najistotniejszych problemów polityki kadrowej w gospodarce socjalistycznej jest zachowanie odpowiedniej równowagi między stabilizacją kadr kierowniczych a ich odnawianiem. Uchwała VI Zjazdu PZPR sformułowała następującą dyrektywę dla instancji partyjnych i organów państwowych: „Należy zapewnić stabilizację kadr kierowniczych dobrze wywiązujących się ze swych zadań, jak i planowy, racjonalny ruch kadr, odpowiadający wymogom rozwoju poszczególnych dziedzin".

Stabilizacja kadr kierowniczych jest niezbędnym warunkiem zachowania ciągłości w pracy organów gospodarczych, ale nie może być ona absolutyzowana, utożsamiana ze stagnacją. Właściwie pojmowana stabilizacja kadr kierowniczych, szczególnie w warunkach budowy rozwiniętej gospodarki socjalistycznej, nie wyklucza, lecz wprost przeciwnie — zakłada potrzebę odnawiania, to jest zmian czy rotacji. Oznacza to również, że zmiany kadrowe powinny mieć charakter planowy i przemyślany, wynikać z obiektywnych potrzeb funkcjonowania organów gospodarczych i być zgodnymi z interesem ogólnospołecznym.

Z błędnie pojętą stabilizacją kadr kierowniczych wiąże się zjawisko tzw. karuzeli personalnej. „Na wszystkich szczeblach i we wszystkich dziedzinach trzeba — jak stwierdzała Uchwała VI Zjazdu PZPR — zerwać ze szkodliwą praktyką przesuwania z jednego odpowiedzialnego stanowiska na inne ludzi nieudolnych lub skompromitowanych, którzy nie wywiązali się z obowiązków wynikających z zajmowanego stanowiska". Funkcjonowały jednak takie mechanizmy władzy, które ową praktykę umożliwiały i utrwalały.

Kierownicy nawet najbardziej ideowi, zdolni i ofiarni, zbyt długo pozostający na tych samych stanowiskach, w tych samych przedsiębiorstwach, zjednoczeniach, kombinatach czy ministerstwach, siłą rzeczy przestają dostrzegać nowe potrzeby, tracą ostrość i krytycyzm spojrzenia na zasadnicze problemy społeczno-ekonomiczne, przyzwyczajają się do braków, tracą dynamikę działania. Stąd też o odnawianiu kadr kierowniczych powinna decydować nie rotacja wymuszona przez życie, lecz świadoma i planowa polityka kadrowa określająca nawet czasowe granice zajmowania określonych stanowisk.

Środkiem dynamizowania polityki kadrowej, zapewniającym racjonalne gospodarowanie kadrami kierowniczymi, jest stały przepływ kadr między różnymi dziedzinami życia polityczno-gospodarczego. Problem ten został podniesiony na VI Zjeździe PZPR, którego Uchwała stwierdza, że „zmiany na stanowiskach kierowniczych mianowanych i wybieralnych powinny uwzględniać [...] przesunięcia kadrowe między aparatem gospodarczym, państwowym i partyjnym".

Sensowny przepływ kadry kierowniczej z aparatu partyjnego do aparatu gospodarczego i odwrotnie jest celowy i przynosi dobre efekty. Przemyślany i merytorycznie uzasadniony przepływ kadr kierowniczych pomiędzy poszczególnymi dziedzinami życia społeczno-gospodarczego powinien przeciwdziałać rutynie i stagnacji, a jednocześnie wzbogacać doświadczenie i kwalifikacje, wyzwalać energię i ambicję niezbędną do sprostania nowym zadaniom i obowiązkom.

Dobrą, godną upowszechnienia metodą rozmieszczenia kadr jest praktyka alternatywnego rozpatrywania przez instancje partyjne kandydatur na stanowiska kierownicze. Niektóre stanowiska kierownicze mogą i powinny być obsadzone w drodze konkursów. Niezbędne jest obecnie maksymalne rozszerzenie tej formy rozmieszczania kadr.

Rozmieszczenie kadr kierowniczych w organach gospodarczych polega nie tylko na powierzaniu określonych stanowisk, ale również na umiejętnym zwalnianiu z nich. Na tym m. in. polega kultura polityczna. Odchodzenie ze stanowisk jest procesem naturalnym, leżącym w interesie zarówno organów gospodarczych, jak samych kadr kierowniczych, które nie powinny być nadmiernie i zbyt długo obciążane obowiązkami.

Jednocześnie ważne jest to, żeby instancje partyjne zawsze tworzyły dla kadr uczciwych i rzetelnych, nie mogących już podołać nowym zadaniom, godne warunki odchodzenia z kierowniczych stanowisk.

W niektórych przedsiębiorstwach, zjednoczeniach, kombinatach itp. zmiany kadrowe następują dopiero wtedy, gdy kontrole ujawniają poważne nieprawidłowości w pracy kierowników i w funkcjonowaniu tych organizacji gospodarczych, prowadzące do napięć wewnętrznych, obnażających słabość kierownictwa. Zbyt częste odchodzenie kierowników ze swych stanowisk w atmosferze skandalu powoduje, że każdą zmianę personalną, nie będącą awansem, załogi pracownicze traktują jako zakamuflowaną dymisję czy degradację. Stąd wynika konieczność kształtowania takiego klimatu społecznego, w którym odwoływanie kadr z kierowniczych stanowisk byłoby traktowane jako naturalny proces wynikający z obiektywnych wymogów polityki kadrowej, a nie jako degradacja społeczna i zawodowa.

Z zagadnieniem odnawiania kadr kierowniczych wiąże się kwestia dopuszczalnego okresu sprawowania określonych funkcji i zajmowania stanowisk. O zmianach na każdym stanowisku powinny decydować wyniki i obiektywna ocena pracy, należy dążyć jednak do tego, aby czas pracy na tym samym stanowisku kierowniczym nie trwał zbyt długo. Wyznacznikami czasu zajmowania stanowisk kierowniczych powinny być merytoryczna przydatność i formalny wymóg (okres rotacji).

Celowe i słuszne jest zatem wprowadzenie dla wszystkich ważnych, kluczowych funkcji i stanowisk w partii, państwie i innych organizacjach zasady nieprzekraczania oznaczonego okresu ich sprawowania czy zajmowania — jedna kadencja, a w wyjątkowych przypadkach — dwie kadencje. Zasada ta może być często jedynym skutecznym instrumentem odnawiania kadr kierowniczych, przezwyciężania partykularyzmu interesów, rozbijania klik, a więc znoszenia barier hamujących podnoszenie szeroko rozumianej racjonalności procesu gospodarowania oraz kojarzenia interesów indywidualnych i grupowych z interesem ogólnospołecznym. Wprowadzenie zasady i ścisłych okresów rotacji we wszystkich dziedzinach życia społecznego i na wszystkich szczeblach zarządzania jest więc konieczne i słuszne z ogólnospołecznego punktu widzenia.

Trudno na koniec oprzeć się pewnej refleksji. Jak widać z cytowanych dokumentów — o potrzebie racjonalizacji polityki kadrowej wiedziano i mówiono w partii od dłuższego czasu. Jest dzisiaj okres sposobny i naglący, aby ten postulat realizować.

Kamena str. 2

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 79 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201043-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 235-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
PL ISSN 0137-7108
Nr indeksu 36731

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 235-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 215-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

POEZJA RADZIECKA

w przekładzie K. A. Jaworskiego

Anna Achmatowa

MIŁOŚĆ

To żmijki zwinąwszy się kłębem
Czaruje przy sercu i słucha,
To dniami całymi gołębiem
Na białym okienku wciąż grucha.

To w szronu zabłyśnie iskierce,
To znów zamajaczy w powoju,
Lecz tajnie prowadzi wciąż serce
Od szczęścia, od ciszy, spokoju.

Potrafi rozszlochać się słodko
W skarżących się skrzypiec rozjęku
I straszną jest rzeczą ją spotkać
W uśmiechu — w nieznanych ust pęku.

Maryna Cwietajewa

PIERWSZA RÓŻA

Dziewczynka chłopca różyczką darzy,
Pierwszą różyczką z kuszcza.
Dziewczynkę chłopiec całuje w usta,
Pierwszą pieszczotą darzy.

Słońce się skryło, aleja pusta...
Całować w usta to rzecz wstydliwa!
Dziewczynko, trzebaż ci było zrywać
Pierwszą różyczkę z kuszcza!

Samuel Marszak

PIERWSZA KSIĄŻKA

Gdy się wgryziemy w abecadła karty,
Z liter składając już szeregi słów,
I zrozumiemy, że w nich sens zawarty:
„Ogień. Koń. Woda. Starzec. Jeleń. Rów" —

Radość dziecinna oczy nam rozjaśni,
Że rząd tych liter był mozołu wart,
Nagrodą bowiem są już pierwsze baśnie
Za pierwsze strony abecadła kart.

I opuszczamy w chwili tej z spokojem
Na wieki domu ojczystego próg,
I rozmawiamy: ja z książką we dwoje,
I świat nas ciągnie w bezkres swoich dróg.

Maksym Tank

W KWIACIARNI

Potrzebny mi bukiet
Dla zaginionej gdzieś solenizantki,
Która ma dzisiaj dwadzieścia lat.
A czemu zaginionej?
Wyjechała z naszego miasta
Trzasnąwszy drzwiami mego serca
i zabroniła nawet, bym ją odprowadził,
Telefonował albo pisał.

A może jej wcale nie było?
Wszystko jedno — proszę zrobić bukiet:
Wziąć najczerwieńszą różę,
Łodyżkę Jej głosu,
Parę pożółkłych liści ciszy
I cień Jej — cień tuberozy...
Wszystko to, jeśli łaska,
Proszę przewiązać wstążeczką Mlecznej Drogi

I policzyć,
Ile to wszystko będzie kosztowało
Z dostawą na miejsce.

Mikołaj Tichonow

ZAPROSZENIE DO PODRÓŻY

Powszednim cieniem wschodzi dzień,
Ubranie zwykłe: kołnierz ciasny —
Ach, spróbuj, weź go, zaraz zmień,
Powiedz, że zmieniasz zwyczaje i miasto.

Będzie ci, siwy ze strachu, wyć,
Paznokcie wpije, krzykiem cię zatrwoży,
Zagrozi: w nędzy możesz tam zgnić,
Rachunki ci wyłoży.

Ale rozdmuchaj jak zeschnięty tytoń
Przyzwyczajenia — z piętra zejdź,
Ujrzysz, jak ziemi kolana kwitną
I jaki jest uśmiech jej.
A może wściekłość? A może daleko
Uniesie ciebie jeden podmuch rzęs,
Pochłonie nagle cudów rzeką
I wszystko utraci swój sens?...

Gódź się natychmiast. Niechaj sił ci starczy
Do tej ucieczki. Przecież poznać czas,
Jak ludzie żyją i żują inaczej,
Jak nowe słowo roztacza tam blask.

Jak błądzą ludy po obszarach cichych,
Jak złotem tłuszczu wschodni bazar lśni
I jak, przypuśćmy, za Kaspią oddycha
Bażant opasły w lepkim żarze dni.

Aby z obrzydłych i nudnych podnóży
Życie twe wstało nie jak ranny step,
Jak góra, której każdy stopień wróży
Wciąż niespodzianek nie zaznanych chleb —

By z krtani krzyk twój w bezmiar się wydłużył:
— Myśmy znów krewni, Góro, uchyl nieb.

Fot. Waldemar Stępień

Chopin i kompleks polski

Stefan Münch

ZAKOŃCZYŁ się X Konkurs Chopinowski. Nareszcie, pomyślałem, słuchając nieciekawych i bladych (poza kilkoma zaledwie momentami) wykonań *Koncertów*. Zresztą IV etap z reguły bywał niespecjalnie imponujący, a decydowało o tym po prostu psychiczne i fizyczne wyczerpanie finalistów. Koncerty ponadto, jak wszyscy wiedzą, poważniejszych zmian do punktacji końcowej nie wnoszą i są raczej upominkiem dla publiczności.

Końcowy werdykt międzynarodowego jury wzbudził jak można było przewidzieć, stosunkowo niewielkie emocje. Konkursy Chopinowskie mają bowiem to do siebie, że najbardziej dyskutowane decyzje zapadać zwykły po II i III etapie. Tam dokonuje się selekcja na tyle staranna, by jurorzy mogli spokojnie posłuchać *Koncertów* w przekonaniu, że udało im się podtrzymać ciągłość chopinowskiej tradycji. Niestety, nie jest to tradycja najlepsza, skoro nasz stosunek do Chopina, oficjalnie wyrażony przez część szacownego gremium zasiadającego na balkonie Filharmonii Narodowej, ma w sobie coś z niezdrowego fetyszyzmu. Samo wszakże założenie konkursu monograficznego kryje w sobie niebezpieczeństwo rezygnacji z oceny czysto pianistycznych predyspozycji kandydata na rzecz mierzenia jego występu przy pomocy rozpaczliwie anachronicznego kryterium: wierności tradycji chopinowskiej. Ale co to jest dzisiaj *tradycja chopinowska*? Rozwija się ona od czasów, gdy grał sam Chopin, gdy jego utwory grał Liszt, poprzez pianistów, którzy pamiętali, jak grał Chopin, ale nie pozostawili po sobie śladu, bo nie było jeszcze nagrań, poprzez wielkich pianistów XX wieku, takich, jak Hofmann, Rachmaninow, Lipatti, Rubinstein. To tradycja chopinistyki, głębokiej, rozumiejącej, nieraz dramatycznie rozdartej. To — dla przykładu — *Sonata b-moll* w wykonaniu Sergiusza Rachmaninowa z leciutkim *Scherzem* i narastającym do tria, potem gasnącym, marszem. Ale jeszcze niżej zastygła jak gdyby druga tradycja, szkolno-schematyczna, oficjalno-urzędowa, ukształtowana na jakiejś kursokonferencji czy zebraniu rady wydziału, oparta na wzorach drugorzędnych pianistów średniego pokolenia i ich najpilniejszych uczennic. Tu nieważny jest Rubinstein czy Lipatti: dominują ci, którzy wprawdzie Chopina grać nie umieją, ale wiedzą, jak go grać należy: nie za cicho, nie za głośno, nie za wolno, nie za szybko. Na Konkursie Chopinowskim faworyzowany jest styl poprawny, wyważony, rzemiosło bierze górę nad sztuką. Pianista, który niczym nie błyszczy, czasami się myli (jest to rzeczą ludzką), ale pod względem interpretacyjnym nie sposób się doń przyczepić, awansuje. Pianista o wspaniałym warsztacie fascynującej wyobraźni przepada, jeśli zagrał balladę czy sonatę inaczej, niż naucza profesorskie grono z Warszawy. Dlatego nie weszli do finału Ivo Pogorelic i Hung-Kuan Chen, prawdziwie wielkie osobowości tego konkursu; dlatego znaleźli się w finale Pietrowa i Berchot, pianiści ze szech miar poprawni — ale nic więcej.

Wydaje mi się, że o ile Konkurs Chopinowski zachować ma należną mu rangę (rzeczywistą, a nie określaną ilością uczestników oraz ich geograficznym „rozrzutem" — ekscytacja faktem, że w Wietnamie, Chinach czy Nowej Zelandii gryw a się Chopina, jest straszliwie zaściankowa), trzeba radykalnie zmienić regulamin prac jurorów. Myślę tu o sprawach postulowanych od lat: o zniesieniu tajności ocen, ograniczeniu punktacji do etapów wstępnych, wprowadzeniu osobnych list laureatów, proponowanych przez każdego jurora i zamykającej poszczególne etapy dyskusji. Ale nawet i te poprawki do regulaminu niewiele zmienią, jeśli w składzie jury zasiadać będą (i to w przewadze) dyplomowani specjaliści od Chopina, zasłużeni edytorzy rękopiśmiennych wariantów jego twórczości i ich zagraniczni koledzy o podobnie konserwatywnych poglądach estetycznych. Należ ich zastąpić jurorami bardziej nowoczesnymi, pozbawionymi niezdrowej ortodoksji, przede wszystkim zaś — wybitnymi koncertującymi pianistami. Część opinii oburzyła się na Martha Argerich za jej oświadczenie: *Wstydzę się, że należę do jury tego Konkursu* (notabene poparli ją Nikita Magaloff i Paul Badura Skoda). Osobiście bardziej ufam zdaniu trójki znakomitych pianistów, niż ocenom prof. Ekiera i innych przedstawicieli profesorskiego gremium. Warto chyba zastanowić się nad tym, w przeciwnym razie Konkurs będzie tylko odbiciem naszych polskich kompleksów w dziedzinie sztuki.

Dominik Opolski

DO BLIZNY

Nie mów nikomu jak się goi rana
Choćby cię pytał ten, komu zadałeś
Ranę pytaniem. — Dokąd zmierzałeś
Wracając po tropie ucieczki Gauguina?

Ten świat już skurczył się w twoich objęciach
Psy wytropiły źródła naszych lęków
Echo wyrwało cię z pułapki węchów
Przestrzeń się kryje we własnych zagięciach —

Boże coś Polskę — przez tak liczne trwogi
Prowadził dotąd, aż lęk stał się bliski
I już ten obłęd nie nęka sumienia

Nie daj nam zginąć wśród tych śladów wrogich
Co każdym znakiem wzniecają przebłyski
Pragnień: tak pracy, jako i wytchnienia.

DO PUŁAPKI

Przed każdym świtem chłód mi głos odbiera
Słowa się kłębią Zdań złożyć nie mogę
By opowiedzieć, co tak wielką trwogę
Każe ujawniać, gdy usta otwieram

Po ciemku nie chcę mówić nawet szeptem
Aby nie zbudzić tych, co słów szukali
Do protokołu, którym oskarżali
Wszystkich i wszystko — widząc już przed katem

Nawet milczenie strzec muszę od treści
Które potwierdzić mają sens wyroku
Jaki już zapadł, nim nas osądzili

Teraz musimy głosić takie wieści
Bo już wiadomo, że ten zwiększy kroku
Kto poznał sposób, w jaki nas zwabili.

Dokończenie ze str. 1

Samorządność uczelni

tu lub rady wydziału, w sposób demokratyczny, a więc inaczej, niż dotychczas, kiedy to np. rektora mianował minister. Pozwolę sobie zatem na przypomnienie, że samorządność kadrowa uczelni już istniała, sprawnie funkcjonując do roku 1968, kiedy to odpowiednią ustawą scentralizowano politykę kadrową, wprowadzono mianowanie na kluczowe stanowiska itp. Biorąc pod uwagę owe tradycje, uważam, że powrót do tego rodzaju samorządności jest czymś stosunkowo łatwym. W Akademii Medycznej już teraz, nie czekając na ogłoszenie nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, rada jednego z wydziałów wybrała demokratycznie, w tajnym głosowaniu te osoby, które następnie zostały powołane zarządzeniem rektora na stanowiska kierowników odpowiednich klinik czy katedr.

Czy możliwe jest jednak przyznanie uczelniom większej samodzielności ekonomicznej, a więc rozwikłanie czegoś, co szczególnie determinuje działalność szkół wyższych? Teoretycznie — tak. Jeśli władzom uczelni da się określone środki, nie limitując ich rozdziału — „tyle na dydaktykę, tyle na badania naukowe, tyle na remonty" — wtedy będą one mogły gospodarzyć racjonalnie. Szczegółowe przepisy finansowe szalenie dziś ograniczają działalność uczelni.

R. Poliński: — Moim zdaniem, krępowanie samodzielności uczelni wynika z błędnego ustawienia funkcji Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Resort ten powinien w pierwszym rzędzie pełnić funkcję koncepcyjno-strategiczną i programującą. W rzeczywistości jednak w ogóle jej nie pełni, mało tego — to ministerstwo nie posiada żadnej wizji rozwoju nauki i szkolnictwa w Polsce, horyzont czasowy jego działań ogranicza się do jednego, dwóch, maksymalnie do pięciu lat. Co zatem robi ta instytucja? Spełnia przede wszystkim funkcje mobilizująco-egzekwujące, to znaczy: zakreśla zadania i egzekwuje ich wykonanie, lub skłania do wykonania. Dlatego też ministerstwo tak często i chętnie posługuje się poleceniami, dyrektywami, limitami, wskazówkami oraz... telexami i telefonami. A to są narzędzia i metody nieefektywne. Uczelnie powinny mieć samodzielność w dziedzinie operatywnej, a co za tym idzie — możliwość kształtowania własnej polityki kadrowej, nadawania wszystkich stopni naukowych.

I. J. Kamiński: — Co stałoby się wówczas z Centralną Komisją Kwalifikacyjną, dla Kadr Naukowych, która obecnie decyduje de facto o nadawaniu tych stopni?

T. Borkowski: — W wielu środowiskach zetknąłem się z krytyczną oceną CKK, ponieważ jest to jakieś votym separatum wobec ciała kolegialnego uczelni. Kiedy rada wydziału stawia wniosek o przyznanie tytułu doktora habilitowanego, m. in. na podstawie recenzji pracy, to w tym momencie kończy się demokracja, a zaczyna „sąd kapturowy", zaoczny, bowiem w przypadku negatywnej oceny komisji delikwent nie ma prawa obrony.

R. Poliński: — Nie ulega dla mnie wątpliwości, że należy zmienić charakter Komisji, której członków mianuje obecnie prezes Rady Ministrów. Powinni oni pochodzić z wyboru. Inna sprawa, że jej istnienie niejako zwalnia rady naukowe uczelni i senaty od odpowiedzialności za poziom naukowy prac. CKK likwiduje skutki intelektualnej ułomności, a nie przyczyny, które tkwią w braku atmosfery naukowej i systemu samoregulacji na wydziałach czy w instytutach... Kończąc wcześniejszy wątek, pragnę dodać, że absolutna samodzielność uczelni również, moim zdaniem, jest nie do pomyślenia, jej działalność musi być koordynowana w określonym stopniu.

I. J. Kamiński: — Wszystko wskazuje na to, że rychło doczekamy się samorządnych ciał kolegialnych, które poprowadzą uczelnie ku lepszej przyszłości. Ale w jakim składzie? Proponuje się, by w senacie i radach wydziałów zasiadali przedstawiciele samodzielnych i młodszych pracowników naukowych, administracji, służb pomocniczych oraz studentów. Czy pomysł tak szerokiej reprezentacji zyska akceptację całego środowiska? Demokracja najpiękniej wygląda w teorii...

T. Borkowski: — Jeśli chodzi o młodzież, to zwiększenie jej udziału w ciałach kolegialnych nie powinno nastręczyć trudności, albowiem nawet ustawa z 1968 roku, zapewniająca studentom obecność w senacie i radach wydziałów, nie precyzuje wielkości tej reprezentacji. Ale czy studenci powinni wypowiadać się na temat stopni naukowych swych nauczycieli? Ma chyba podstawy pogląd, że o takich sprawach powinni decydować tylko ludzie posiadający po temu pełne kwalifikacje...

I. J. Kamiński: — A jak wyobraża sobie udział młodzieży w zarządzaniu uczelnią przedstawiciel Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Lubelskiej, które, jak wiem, liczy ponad 600 członków, czyli 25 procent ogółu słuchaczy tej szkoły?

G. Piotrowski: — Studenci kierują do nas różne postulaty, podnoszące na przykład konieczność zrównania długości roku akademickiego Politechniki Lubelskiej z rokiem obowiązującym w pokrewnych uczelniach tego rodzaju w Polsce; nasz jest dłuższy o dwa tygodnie, praktycznie nie mamy przerwy zimowej.

J. Szczypa: — To lokalna, wewnętrzna sprawa. A pryncypia, rozumienie własnego uczestnictwa w decydowaniu o życiu szkoły?

G. Piotrowski: — Chodzi nam o pełniejsze wykorzystanie środków audiowizualnych...

J. Szczypa: — Też sprawa lokalna.

G. Piotrowski: — Chcemy mieć udział w decyzjach dotyczących doboru kadry naukowo-dydaktycznej i możliwości publicznej oceny jej działalności. Zresztą ta kadra nastawiona jest do nas przychylnie, często rozmawiamy na temat przyszłego modelu naszej organizacji i o zasadach wspólnego rządzenia naszą uczelnią.

J. Szczypa: — Całkowicie zgadzam się z profesorem Borkowskim, że tylko pełne kwalifikacje upoważniają do zabierania głosu w sprawach ważnych dla uczelni. W myśl starej rzymskiej zasady „Co cesarskie cesarzowi, co boskie bogu" nie wolno nam dopuszczać do dyskusji ze studentami dotyczących sposobu egzekwowania wiadomości, wymagań egzaminacyjnych, bo w przeciwnym przypadku nastąpi coś, co będzie polską odmianą rewolucji kulturalnej. W ramach samorządności należałoby przekazać studentom kierownictwo stołówek i organizację całego wyżywienia młodzieży, rozdział stypendiów i miejsc w domach akademickich — bo oni wiedzą najlepiej, co się komu faktycznie należy. Na tym terenie studenci rządziliby sami, dysponując kredytami, które państwo daje na zabezpieczenie ich warunków socjalno-bytowych, a także na kulturę i sport. Wśród młodzieży mojego wydziału, matematyczno - fizyczno - chemicznego, panuje zresztą przekonanie, że organizacja studencka powinna być niezależna jako rodzaj związku zawodowego, broniącego interesów ekonomicznych i pedagogicznych tego środowiska. A jeśli ktoś chciałby realizować swoje aspiracje polityczne, mógłby jednocześnie działać w SZMP.

G. Piotrowski: — Nasz niezależny związek przejmuje właśnie rolę, jaką spełniało kiedyś ZSP.

I. Wojciechowski: — Zgodzilibyście się więc przejąć na majątek swojego związku domy studenckie, stołówki — tak, aby wszystkie dotacje ministerialne przychodziły już na wasze konto, z którego opłacalibyście administrację, sprzątaczki, kierowników?

G. Piotrowski: — Oczywiście, o to nam chodzi... Ale w tej chwili byłoby to bardzo ryzykowne.

I. Wojciechowski: — Kiedyś studenci doskonale radzili sobie z tymi sprawami, czego przykładem „Bratniak".

G. Piotrowski: — Ale dzisiejsze środowisko nie jest takie, jakim było niegdyś, nie jest awangardą młodzieży.

Z. Sobolewski: — A ja sądzę, że organizacja studencka zajmująca się wyłącznie chlebem i solą byłaby mało atrakcyjna dla młodzieży. Sam fakt powstania nowego związku uważam natomiast za wielce pożyteczny w procesie zyskiwania przez uczelnie samorządności, bo będzie on kolejnym czynnikiem wpływającym na politykę rektora, senatu i rady wydziału; zawsze bałem się następstw wszelkich kongresów zjednoczeniowych. W obecnej sytuacji kraju można witać z zadowoleniem pojawienie się rozmaitych ugrupowań, nawet jeśli chciałyby one tylko zaznaczyć swoją odrębność od istniejących już organizacji.

K. Gawęda: — Ciągle stoję na stanowisku, że organizacje studenckie powinny mieć charakter polityczny. Już w trakcie studiów młodzież musi wchodzić w mechanizm zarządzania krajem, wpływając na taki a nie inny kształt procesu dydaktycznego. Bylibyśmy bardziej odpowiedzialni za to, co dzieje się na uczelni, gdybyśmy znali odpowiedź na pytanie, dlaczego tak właśnie się dzieje, dlaczego na przykład na jednym roku wydziału lekarskiego jest ponad 400 studentów, kiedy możliwości bazy dydaktycznej naszej Akademii obliczone są na 200.

T. Borkowski: — Już odpowiadam: bo od 35 lat działa u nas prawo aspiracji społecznych i żadne z rodziców owych 1500 kandydatów, jacy rokrocznie szturmują wydział lekarski, nie chce przyjąć do wiadomości, że obok aspiracji trzeba mieć predyspozycje.

K. Gawęda: — Ale w takim tłoku ja jestem kształcony powierzchownie, mimo dobrej woli i wysiłków poszczególnych profesorów.

R. Poliński: — Nie jest winą kadry naukowej, że nie protestuje przeciwko zwiększonym limitom rekrutacji na studia...

Kilka głosów: — Protestuje, protestuje!

R. Poliński: — No dobrze, ale nieskutecznie. Cały problem wynika z polityki resortu.

K. Gawęda: — Co jeszcze raz potwierdza potrzebę autonomii uczelni.

L. Paga: — Tymczasem samodzielni pracownicy naukowi krytycznie i z niesmakiem przyjmują dziś postulaty zwiększenia udziału młodych w ciałach decydujących o życiu uczelni. Ten i ów szef mówi: „Mój asystent będzie siedział obok mnie w senacie i decydował na równych prawach ze mną?!". Ten człowiek zapomina, że mający niskie pensje i kiepskie mieszkania asystenci i adiunkci załatwiają cały proces dydaktyczny na uczelni... Przez jakiś czas brałem udział w posiedzeniach senatu i stwierdzam, że są to ciała drzemiące. Jeśli nie zyskają one autentycznych możliwości podejmowania ważnych decyzji, będzie

Kamena str. 4

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego kraju wypowiedzi o związkach ich biografii i twórczości z Lubelszczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat. Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów — publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórskiego i Jana Smolarza.

Red.

JERZY KUNCEWICZ

URODZIŁEM się w Jakubówce, włączonej obecnie do miasta Lublina Pobierałem nauki w szkołach średnich w Lublinie, nauczałem w tychże szkołach w Lublinie. W czasie mojej nauki korzystałem dwukrotnie z niepożądanej opieki cesarza Wszech Rosji. Opiekun, zniecierpliwiony moją krnąbrnością, poprosił mnie o opuszczenie miasta i kraju. Obrażony, oparłem się na dalszy postój w Krakowie, a zatrzymałem na Uniwersytecie w Liège (Belgia). I tu tylko na lat parę.

Cesarz Wilhelm, władca Niemiec, zdobył to miasto. Podejrzewając mnie o franctirerstwo, z pogróżkami przykrymi ulokował mnie w obozach jenieckich.

Trzeci cesarz, ten bokobrody, austriacki, chciał być dla mnie łaskawy i wyjednał przesłanie mnie pod jego opiekę do Lublina. Tutaj dał mi swobodę. Jednak i tutaj mój duch niespokojny nie usnął. Zaofiarowano mi więc znowu wikt i opierunek nie byle gdzie, bo na zamku synów królewskich. Opiekę swoją miał zamiar trzeci cesarz pogłębić przez zabieg lekarski, który by mnie pozbawił na zawsze wszelkich kłopotów. Zmienił zdanie, skłoniony okolicznościami, i zostałem tylko wyrzucony na bruk.

Pobyłem w Lublinie, poszedłem w świat, przez naszą stolicę. Pracowałem, wojowałem, chodziłem krótko ze szwoleżerami, politykowałem, oponowałem, proponowałem, poznawałem inne kraje i lądy, odwiedzając Lublin.

Uwiłem gniazdko rodzinne, uspokajam się. Pełnej poprawy nie oczekuję, a jak z domu naszego w Kazimierzu' lubelskim każą mi się wynieść, aby go oczyścić, to zostanę na niedalekim wzgórzu, by nad domem i Lubelszczyzną czuwać niespokojny.

Jerzy Kuncewicz (urodzony w 1893 roku) jest autorem kilku książek wydanych przed wojną w Polsce i po wojnie — w Londynie. W jego dorobku znajdują się utwory prozatorskie i dramaturgiczne, a przede wszystkim eseistyka polityczna, społeczna i historiozoficzna.

MARIA KUNCEWICZOWA

MÓJ związek z Lubelszczyzną jest związkiem małżeńskim, bo mój mąż, Jerzy Kuncewicz, urodził się we wsi Jakubówka pod Lublinem, jako wnuk ostatniego „patrona trybunału lubelskiego", J. Wyszyńskiego. Związek bardzo się ożywił po moim poznaniu Kazimierza Dolnego, dokąd Jerzy, od dziecka w nim rozmiłowany, przywiózł mnie, kiedy nasz syn Witold miał lat sześć.

Wkrótce po tym Jerzy zakupił posesję nad Wąwozem Małachowskiego, która z czasem się rozrosła i została uwieńczona domem projektu arch. Karola Sicińskiego. Ten dom dotąd stoi. Szczegóły w mojej dwutomowej autobiografii „Fantomy" i „Natura".

---

to nadal grupa ludzi, którzy ożywiają się tylko podczas dzielnego marszu w togach na inauguracji roku akademickiego.

J. Szczypa: — Pozostańmy jeszcze przy studentach. Najzdolniejsi z nich, otrzymujący dyplomy z wyróżnieniem, nie mają dziś żadnych szans podjęcia pracy naukowej w uczelniach, ponieważ brakuje etatów, a sięgając źródeł tej dramatycznej sytuacji — mechanizmów zapewniających przepływ kadry.

T. Borkowski: — Były próby rotacji, obejmujące nawet adiunktów...

L. Paga: — Zacząłbym od rotacji profesorów. Jeśli ktoś został docentem czy profesorem, to zamienia się w świętą krowę, nikt nie ma prawa go ruszyć, mimo że — znam niejeden taki przypadek — oddał się błogiemu lenistwu. Samodzielni pracownicy naukowi bardzo też rzadko zajmują się wychowywaniem młodej kadry, choć formalnie i moralnie są do tego zobowiązani. Istnieją zakłady, w których przez 10 lat nie wypromował się ani jeden pracownik — wszyscy zostali wyrotowani. W moim przekonaniu to właśnie kierownik zakładu, profesor, powinien być wyrotowany w pierwszym rzędzie.

T. Borkowski: — Zgadzam się z panem, że drożność w tych kanałach powinna być większa. Zwracam przy tym uwagę, że istnieją po temu możliwości formalne, z których nikt jednak jakoś nie chciał korzystać. Należałoby je teraz uruchomić.

L. Paga: — Nie wierzę, że ci, którzy ze względu na własną wygodę nie korzystali dotąd z tych możliwości, zmienią się nagle i wprowadzą w ruch wiadomy mechanizm.

T. Borkowski: — Cały układ ulegnie zmianie z chwilą, kiedy rektor miast kłaniać się ministrowi, który go dotąd mianował, zacznie odpowiadać przed wybierającym go senatem

L. Paga: — Aby rektor czuł się odpowiedzialny przed całą społecznością uczelni, nie może być wybierany wyłącznie przez samodzielnych pracowników nauki, lecz także przez asystentów, adiunktów, studentów i administrację.

T. Borkowski: — Oczywiście. Tak już zresztą bywało w mojej uczelni.

Z. Sobolewski: — Jestem również za znacznym zwiększeniem udziału adiunktów w ciałach kolegialnych uczelni Reprezentują oni wysoki poziom naukowy, a poza tym są to ludzie dobrze już zorientowani w życiu szkoły. Miałbym jednak wątpliwości w odniesieniu do młodych asystentów, pozbawionych siłą rzeczy doświadczenia, i do studentów, którzy przechodzą przez uczelnię i nie mogą odpowiadać za konsekwencje swojego wyboru Owszem, te środowiska powinny mieć pewien wpływ na wybieranie władz, lecz wpływ odwrotnie proporcjonalny do swej liczebności. Gdyby przyjąć inne kryterium, na przykład wielkości środowisk, to studenci zawsze przeforsowaliby własne kandydatury.

J. Szczypa: — Właśnie. Na UMCS jest 100 profesorów i docentów, a 13 tysięcy studentów... Nawiązując do wspomnianego już braku mechanizmów regulujących przepływ kadry na uczelni, braku fatalnego w skutkach, chciałbym dodać, że jeśli takowy powstanie, a musi powstać, to winien on umożliwić ocenę kadry każdego szczebla. Panie magistrze, ja wcale nie chcę, by traktowano mnie jak świętą krowę.

R. Poliński: — Zdecydowanej reformy wymaga także sprawa awansowania w szkołach wyższych. W znanych mi środowiskach naukowych neguje się potrzebę istnienia stopnia wyższego od doktora nauk, bowiem wymaganie habilitacji przy obsadzaniu samodzielnych stanowisk prowadzi do obniżenia wartości i rangi rozprawy habilitacyjnej jako probierza wyższych kwalifikacji naukowych. Habilitacje w większości przypadków mają więcej wspólnego z zabiegami, dwuznacznymi zresztą z punktu widzenia moralnego, niż z poważnym wkładem w rozwój określonej dyscypliny nauki. System, w którym pracownicy przez kilkanaście lat zabiegają nieprzerwanie o stopnie naukowe, utrudnia podejmowanie badań o istotnym znaczeniu dla rozwoju kultury i gospodarki narodowej. Na tym naukowym torze przeszkód ludzie ci tracą najbardziej twórcze lata swojego życia. W takim układzie zyskują tylko kadry najmniej twórcze, które w obawie utraty pozycji monopolistycznej w uczelniach czy dziedzinach nauki świadomie hamują rozwój młodej kadry i przedłużają okres jej usamodzielnienia się. Sądzę więc, że habilitacja powinna polegać na sprawdzeniu, czy kandydatowi ze stopniem doktora można przyznać prawo wykładania (veniam legendi) w szkole wyższej, tym samym obdarzając go funkcją wychowawcy młodzieży. Sprawdzian ów obejmowałby zatem także, a może przede wszystkim, kwalifikacje osobiste kandydata. Dzisiaj wykładać można będąc nawet brzuchomówcą, lub człowiekiem niezbyt zorientowanym, co znaczy dobro, a co zło.

J. Szczypa: — W wielu krajach o wysokim poziomie nauki istnieją wielostopniowe drogi awansu naukowego i niczemu to nie przeszkadza.

I. J. Kamiński: — Proszę panów, jeszcze wczoraj prasa — miałem w tym skromny udział — wynosiła pod niebiosa te uczelnie, które poszły na bezpośrednią współpracę z jednostkami gospodarki narodowej, zaczęły szeroko podejmować badania na zlecenie. Jak dzisiaj oceniacie tę sprawę?

J. Szczypa: — Mimo że czerpię pewne dochody z badań zleconych, jestem w zasadzie ich przeciwnikiem. Nie dają one żadnych efektów naukowych, hamują rozwój wartościowych badań, powodują spadek porządnych publikacji, angażują energię ludzi do wykonywania skomplikowanych sprawozdań.

Z. Sobolewski: — Kwestia ta nie wiąże się z samorządnością uczelni, bo nie zmieniając niczego w ich obecnym statusie, moglibyśmy zrezygnować z większości prac na zlecenie. Nie jest to sprawa, powtarzam, samodzielności szkoły, lecz ekonomicznego uwarunkowania jej pracowników naukowych. Inna rzecz, że wspomniana samodzielność w dużej mierze zależy od pozycji materialnej kadry, biedny jest bowiem zawsze zależny od kogoś, kto daje pieniądze na chleb, bogaty ma większą swobodę w podążaniu za autentycznie własnymi zainteresowaniami. Nowa ustawa nie przyniesie nam automatycznie swobody w zakresie kształtowania polityki uniwersyteckiej, aby to osiągnąć, należałoby wziąć pod uwagę postulat większej niezależności szkoły wyższej od różnorakich czynników zewnętrznych: ekonomicznych na przykład, ale nie tylko takich.

I. Wojciechowski: — Prace zlecone dobrze przy tym ilustrują fakt niezbyt sprawiedliwego, mówiąc oględnie, rozdziału funduszy między szkoły wyższe. Posłużę się tu pewnym przykładem. Swego czasu udało się komuś d o r w a ć temat zlecony przez PAN, który realizował przez pięć lat, co kosztowało około czterech milionów złotych. Tymczasem jeden zakład w instytucie PAN, organizujący ekspedycje antarktyczne, wydaje miliony złotych na dobę — na wynajęcie jednego z dwóch potrzebnych mu w wyprawie statków. Na dodatek rezultaty naukowe owej wyprawy okazują się żadne, bo trudno mówić, że wartością było jedno opracowanie, którego nie zatwierdzono do druku. Potrzeba nam zatem jawnego, demokratycznego systemu rozdzielania funduszów między placówki naukowe. Wspomnieć tu warto, że w Polskiej Akademii Nauk nie istnieje obowiązek rotacji, więc ich publikacje są bądź nie najwyższego lotu, bądź nieliczne.

R. Poliński: — Dużo nas kosztują wycieczki polarne....

I. Wojciechowski: — Wydaje mi się ponadto celowe zlikwidowanie niektórych uczelni, które ośmieszają naukę swoim poziomem, albo przynajmniej postawienie im terminu osiągnięcia dojrzałości. Jeśli jej nie zyskają, powinny ulec rozwiązaniu — dla dobra nauki i całego społeczeństwa. Wiąże się z tym problem rangi społecznej nauczyciela akademickiego. Oczywiście, w znacznej mierze autorytet ten zależy od nas samych, od naszych postaw. Nie jest to jednak sprawa tak jednoznaczna, jakby mogło się wydawać z zewnątrz, bo te postawy są często wymuszane, deformowane przez różne przepisy, cenzurowanie rozpraw naukowych, zakaz dostępu do tzw. prohibitów.

Samodzielność uczelni to wiele zagadnień czekających na rozwiązanie. Dotyczą one formuły powoływania władz uczelni, wydziałów i instytutów, spraw ekonomicznych, naukowych i dydaktycznych. Pracownicy Akademii Rolniczej zredagowali pod tym kątem cały pakiet postulatów, wspomnę tylko, że domagamy się prawa do samodzielnego formułowania tematów badawczych. Mają taki przywilej uczelnie warszawskie, my nie. Musimy po prostu przywłaszczać sobie środki z puli na tematy zlecone, ponieważ badania własne nie są subwencjonowane. Chcemy ponadto samodzielnie określać limity przyjęć na studia, bo przecież my najlepiej znamy pojemność uczelni, wiemy, co się dzieje w salach do ćwiczeń laboratoryjnych, które zamiast 26 osób mieszczą dziś niemal 40 — w następstwie zawyżonych limitów przyjęć na studia. W tej ciasnocie studenci oblewają się kwasami, podpalają niechcący palnikami, a asystentki mdleją od zaduchu. Obłęd...

K. Stelmach: — Otrzymałem głos na końcu, więc trudno wnieść mi coś istotnego do dyskusji, w której poruszaliście panowie tak dużo problemów. Chciałbym przecież zauważyć, że całkowicie zgadzając się z potrzebą reform w szkolnictwie wyższym, widząc konieczność opracowania i wyboru (propozycji jest wiele, kontrowersji także) modelu uczelni w kontekście życia całego kraju i oczekiwań mniejszych społeczności, tak zatem myśląc, za błąd zasadniczy uznaję zarazem potępianie w czambuł wszystkiego, co było wewnątrz szkół wyższych, choćby na przykład organizacji młodzieżowych. Powstające niezależne zrzeszenie studenckie dopiero szuka własnego programu, a już twierdzi, że „w uczelni nie widać SZSP". Tymczasem z mojej obserwacji wynika, że powstanie nowej organizacji stało się bodźcem do działania dla istniejącej dotychczas. Właśnie ta młodzież, mimo że poczuła się oszukana, ma pełne prawo do tego, aby bronić własnej przeszłości, tym bardziej, że postulaty formułowane dziś przez nowe związki studenckie były już dawno podnoszone przez SZSP, który nie mógł doczekać się ich realizacji tylko ze względu na ogólniejszą sytuację w kraju. Naturalnie, nie widziałbym żadnego zła w tym, by dawne i nowe organizacje młodzieżowe istniały obok siebie w uczelni. Chodzi jednak o to, aby konkurencja między nimi była oparta na zdrowych zasadach.

Uważam ponadto, że w uczelniach powinno być miejsce dla ludzi o różnych uzdolnieniach: dla teoretyków, praktyków, dydaktyków. Wymaganie habilitacji od wybitnego nawet praktyka jest zbędne, a w końcu prowadzi do wielu komplikacji i kompleksów. Dotyczy to przede wszystkim uczelni o profilu zbliżonym do Politechniki Lubelskiej.

Nade wszystko zaś uważam, że wszelkie reformy niewiele zmienią na lepsze, jeśli ludzie odpowiedzialni za funkcjonowanie uczelni nie będą faktycznie odpowiedzialni przed społecznością akademicką, jeśli nie będą, mówiąc starym językiem, rozliczani ze swoich decyzji. To jest ten sam problem, który pojawia się w ważnych miejscach polskiej rzeczywistości: w Sejmie, w Komitecie Centralnym Partii...

I. J. Kamiński: — Dziękuję panom za udział w dyskusji.

(Publikowany tekst stanowi tylko fragment dyskusji, która trwała 3,5 godziny).

NOBEL '80

Czesław Miłosz

ARS POETICA?

Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej,
która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą
i pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo,
autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu.

W samej istocie poezji jest coś nieprzystojnego:
powstaje z nas rzecz, o której nie wiedzieliśmy że w nas jest,
więc mrugamy oczami, jakby wyskoczył z nas tygrys
i stał w świetle, ogonem bijąc się po bokach.

Dlatego słusznie się mówi, że dyktuje poezję dajmonion,
choć przesadza się utrzymując, że jest na pewno aniołem.
Trudno pojąć skąd się bierze ta duma poetów
jeżeli wstyd im nieraz, że widać ich słabość.

Jaki rozumny człowiek zechce być państwem demonów,
które rządzą się w nim jak u siebie, przemawiają mnóstwem języków,
a jakby nie dosyć im było skraść jego usta i rękę
próbują dla swojej wygody zmieniać jego los?

Ponieważ co chorobliwe jest dzisiaj cenione,
ktoś może myśleć, że tylko żartuję
albo że wynalazłem jeszcze jeden sposób
żeby wychwalać Sztukę z pomocą ironii.

Był czas, kiedy czytano tylko mądre książki
pomagające znosić ból albo nieszczęście.
To jednak nie to samo co zaglądać w tysiąc
dzieł pochodzących prosto z psychiatrycznej kliniki.

A przecie świat jest inny niż się nam wydaje
i my jesteśmy inni niż w naszym bredzeniu.
Ludzie więc zachowują milczącą uczciwość,
tak zyskując szacunek krewnych i sąsiadów.

Ten pożytek z poezji, że nam przypomina
jak trudno jest pozostać tą samą osobą,
bo dom nasz jest otwarty, we drzwiach nie ma klucza
a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą.

Co tutaj opowiadam, poezją, zgoda, nie jest.
Bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie,
pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją,
że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument.

ZAKLĘCIE

Piękny jest ludzki rozum i niezwyciężony.
Ani krata, ni drut, ni oddanie książek na przemiał,
Ani wyrok banicji nie mogą nic przeciw niemu.
On ustanawia w języku powszechne idee
I prowadzi nam rękę, więc piszemy z wielkiej litery
Prawda i Sprawiedliwość, a z małej kłamstwo i krzywda.
On ponad to co jest wynosi co być powinno,
Nieprzyjaciel rozpaczy, przyjaciel nadziei.
On nie zna Żyda ni Greka, niewolnika ni pana,
W zarząd oddając nam wspólne gospodarstwo świata.
On z plugawego zgiełku dręczonych wyrazów
Ocala zdania surowe i jasne.
On mówi nam, że wszystko jest ciągle nowe pod słońcem,
Otwiera dłoń zakrzepłą tego co już było.
Piękna i bardzo młoda jest Filo-Sofija
I sprzymierzona z nią poezja w służbie Dobrego.
Natura ledwo wczoraj święciła ich narodziny,
Wieść o tym górom przyniosły jednorożec i echo.
Sławna będzie ich przyjaźń, ich czas nie ma granic.
Ich wrogowie wydali siebie na zniszczenie.

Z tomu „Miasto bez imienia", (1969)

MIŁOŚĆ

Miłość to znaczy popatrzeć na siebie,
Tak się patrzy na obce nam rzeczy,
Bo jesteś tylko jedną z rzeczy wielu
A kto tak patrzy, choć sam o tym nie wie,
Że zmartwień różnych swoje serce leczy,
Ptak mu i drzewo mówią przyjacielu.

Wtedy i siebie, i rzeczy chce użyć,
Żeby stanęły w wypełnienia łunie.
To nic, że czasem nie wie, czemu służyć
Nie ten najlepiej służy, kto rozumie.

Z tomu „Ocalenie" (1945)

ROK

Rozglądałem się po nieznanym roku, wiedząc że niewielu
przybywa z tak daleka, blask napoił mnie jak woda roślinę.

Był to wysoki rok, lisowatego koloru, jak przecięty pień redwoodu
albo na pagórkach liście winogradu w listopadzie.

Tętno muzyki biło mocniej w jego uroczyskach i pokojach,
zbiegające z ciemnych gór dopływy zaplatały się.

Łomotaniem w bębny konga witało mnie pokolenie ubrane w
szaty wzorzyste obszyte dzwoneczkami.

Gardłowe jego pieśni ekstatycznej rozpaczy powtarzałem idąc
wzdłuż morza kiedy przybój niósł chłopców na deskach i zmywał
mój ślad.

Na samej granicy zamieszkałego czasu uczono się chodzić na
dwóch nogach i wymawiać znaki nakreślone w zawsze dziecinnej
księdze rodzaju.

Opowiadałbym gdybym umiał wszystko co jedna pamięć może
zebrać na chwałę ludzi.

O słońce, o gwiazdy, mówiłem, święty, święty, święty, byt nasz
podniebny i dzień i wieczne obcowanie.

OKNO

Wyjrzałem przez okno o brzasku i zobaczyłem młodą jabłonkę
przezroczystą w jasności.

A kiedy wyjrzałem znowu o brzasku stała tam wielka jabłoń
obciążona owocem.

Więc dużo lat pewnie minęło ale nic nie pamiętam co zdarzyło
się we śnie.

Z tomu „Miasto bez imienia", (1969)

TAK MAŁO

Tak mało powiedziałem.
Krótkie dni.

Krótkie dni,
Krótkie noce,
Krótkie lata.

Tak mało powiedziałem,
Nie zdążyłem.

Serce moje zmęczyło się
Zachwytem,
Rozpaczą,
Gorliwością,
Nadzieją.

Paszcza lewiatana
Zamykała się na mnie.

Nagi leżałem na brzegach
Bezludnych wysp.

Porwał mnie w otchłań ze sobą
Biały wieloryb świata.

I teraz nie wiem
Co było prawdziwe.

Z tomu „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" (1974)

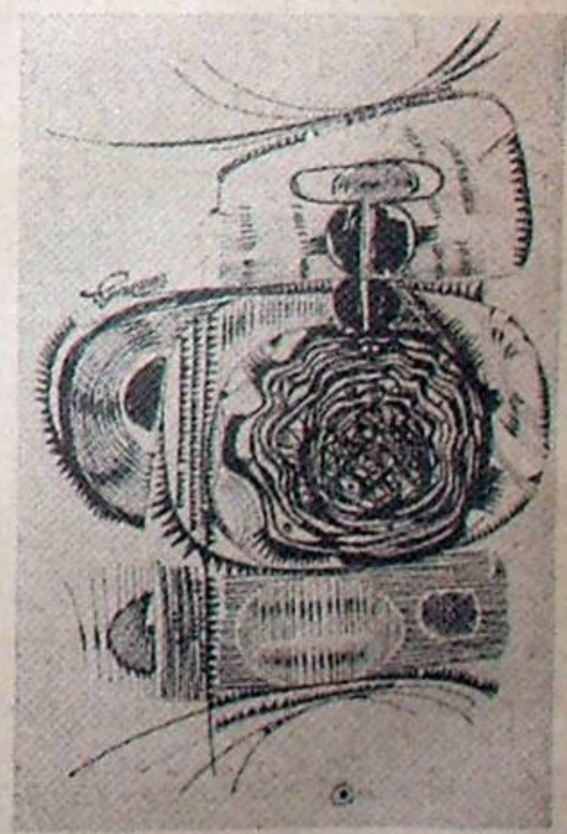

Rys. Z. Strzałkowski

Prawdziwą dziedziną poety jest kontemplacja. Nie jest prawdą, że kontemplacja, kierując człowieka ku prawdom wiecznym, ku temu, co się nie zmienia, odwraca go od jego ziemskich zobowiązań. Przedmiotem kontemplacji jest całą rzeczywistość ludzka, która, choć poddana niezmiennym koniecznościom miłości i śmierci, nie jest poddana jednak prawu wiecznej powtarzalności. Jest ona zawsze, każdego roku, każdego miesiąca, nowa i „nienazwana". Kontemplacja, o której mówię, zachęca, aby uchwycić, poprzez ciągłe przekształcenia języka, dziwną grę pomiędzy tym co stałe i tym co zmienne. Jeżeli poezja nie bierze pod uwagę tego podwójnego charakteru naszych doświadczeń, wikła się w fałszywych dylematach, na przykład przeciwstawia indywidualne zbiorowemu i vice versa. Jeżeli wtedy zwraca się do tego, co niezmienne, grozi jej akademizm. Wyrzut sumienia rzuca ją z kolei w tematy społeczne i polityczne, wtedy natomiast grozi jej histeria.

Fragment przemówienia Czesława Miłosza ,wygłoszonego na Recontre Mondiale de Poesie (World Poetry Conference) w Montrealu we wrześniu 1967 r. w jęz. franc., zamieszczony w przekładzie autora w „Oficynie Poetów i Malarzy", Londyn 1967, nr 4.

■

Ponieważ poezja wobec porażek filozofii, coraz bardziej staje się organem poznania, powracając jakby do czasów wczesnej Grecji, kiedy nie było innej filozofii niż poetycka, nowoczesna grafomania musi przybierać pozory myślowej głębi.

■

Zdawałoby się, że wszyscy ludzie powinny paść sobie w objęcia, krzycząc, że nie mogą żyć, ale żaden krzyk nie potrafi wydostać się im z gardła i jedynie, co jako tako umieją, to kłaść słowa na papierze albo farby na płótnie, całkiem świadomi, że tzw. literatura i sztuka są zamiast.

■

Nowocześni artyści mają pochlebne wyobrażenia o grzechu, ponieważ cnota jest podporą ustalonego społecznego porządku. W ten sposób starają się zapomnieć o moralnych sprzecznościach swojej profesji. Szuka rodzi się z pragnienia dobra, ale pomysł i forma wymagają tej wiary w siebie, która pochodzi z zakochania w zręczności własnego umysłu. Przeciwstawioną całemu światu władczość podtrzymują pycha, pogarda, arogancja, gniew. Mówi się, że nie zasługujemy na Piekło, bo dzieło okupuje winy, ale może jest to jeszcze jeden sentymentalny przesąd.

■

Latami myślałem o nieuczciwości wszelkiego artyzmu, który w jakimkolwiek znanym mi kraju, teraz czy dawniej, byłby niemożliwy, gdyby naprawdę mocno odczuwało się los uciemiężonych i poniżonych.

■

Zapytywano w naszym stuleciu, jak mogli pisać, komponować muzykę, malować obrazy, wiedząc, że w ich kraju są obozy koncentracyjne, ale zapomniano, że na przykład urocza romantyczna poezja angielska powstawała w zacisznych plebaniach, gdzie pastorówny grały na szpinecie, podczas gdy w sąsiednim przemysłowym mieście widok ludzi słaniających się z głodu albo umierających na ulicach był czymś normalnym.

■

Gdzie znaleźliśmy się? Co to jest? Dokąd zmierzamy? Nie jestem ja tak śmiały żeby coś mniemać albo i nie mniemać, rzeknę za „Transatlantykiem". Do mnie należy dostarczyć danych, któż by w środku takiego cyklonu chronił się w zgrabne diagnozy. Tyle że ziemia Ulro nie była fantastycznym wymysłem Williama Blake, jeżeli sami jej dotknęliśmy, czyli od osiemnastego wieku do dziś rosło i potężniało coś, czemu różne nadawano nazwy. I wszystkie próby wyjścia z „ziemi jałowej" (jeszcze jedna z nazw) były, moim zdaniem, jak najbardziej uzasadnione, wszystkie zasługują na podziw, choćby kończyły się przegraną i zostały okupione różnymi rodzajami „nienormalności".

„Ziemia Ulro" (1977).

KSIĄŻKI

CZESŁAW Miłosz studiował polonistykę na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie tylko dwa tygodnie, po czym przeniósł się na prawo, które ukończył, uzyskując dyplom magistra. Zastanawiając się po latach nad swoją decyzją, mówi: „Cóż mnie wtedy interesowało? Nie „Kollokacja" Korzeniowskiego, nie symbolika w „Lilli Wenedzie" i nie gramatyka cerkiewno-słowiańska. Interesował mnie wiek dwudziesty i może zostałbym na Wydziale Humanistycznym, gdyby tam wykładano Apollinaire'a, Maxa Jacoba, Tomasza Manna"... Przez cały okres studiów nie zerwał z literaturą. Należał do Sekcji Twórczości Oryginalnej Koła Polonistów i debiutował wierszami w studenckim piśmie „Alma Mater Vilnensis". Jego młodzieńczy tomik „Poemat o czasie zastygłym" (Wilno 1933) wydany został właśnie przez Koło Polonistów. Już w tym okresie jego wiersze były zapowiedzią poezji moralistycznej. („Myśliciel-lowi ciemno. Jego ciężka głowa opada w tył. Błędy, które popełnił na oczach leżą jak na oczach umarłego monety"). Miłosz zdobył szybko uznanie, jeśliby sądzić po fakcie przyznania mu w rok później przez Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie nagrody za twórczość poetycką.

W roku 1936 wydaje następny tomik, „Trzy zimy", w którym najpełniej — jak sugeruje — dochodzi do głosu wyobraźnia, np. w takim wierszu jak „Bramy Arsenału", gdzie kształtuje się symboliczno-wizyjny obraz poetyckiego świata. W tomie tym, nawiasem mówiąc, znajduje się znany wiersz „Kołysanka", dedykowany Józefowi Czechowiczowi. W pięknym wierszu „Obłoki" przemawia do nas głos świadomy „pychy i pokory", ludzkiego uwikłania w sprawy sumienia, głos obecny zresztą w całej twórczości poety.

W okresie okupacji Miłosz jako pierwszy wydaje w konspiracji tomik odbity na powielaczu („Wiersze", Warszawa 1940) pod pseudonimem Jan Syruć.

W powojennej Polsce publikuje obszerny zbiór „Ocalenie" (Warszawa 1945), do którego weszły wiersze przedwojenne i pisane w czasie wojny. W wierszu „Przedmowa", z którego krytycy często cytują fragment zaczynający się od słów: „Czym jest poezja, która nie ocala Narodów ani ludzi?", poeta formułuje na nowo swój stosunek do poezji. Niezachwianą wiarę w obiektywny porządek moralny rzeczywistości przedstawia w poemacie „Świat", dając w nim poetycką wykładnię elementów filozofii św. Tomasza, ustylizowana na „poema naiwne", jak wskazuje podtytuł. W cyklu „Głosy biednych ludzi" prezentuje w artystycznym kształcie dojrzałą afirmację życia, używając waloryzowanych poetycko i myślowo motywów biblijnych. Podejmuje tradycję „liryków lozańskich" Mickiewicza, np. w wierszach: „W mojej ojczyźnie", „Równina" i we wspomnianym wierszu „Obłoki".

Następny tom ukazuje się w Paryżu w 1953 roku pt. „Światło dzienne". Dominuje w nim atmosfera pogody i optymizmu, niekiedy zabarwiona sceptycznym zamyśleniem nad doświadczeniami współczesnego człowieka. Ostatecznie „poezja jest dla mnie raczej sprawą dnia niż nocy" — mówi Miłosz w przedmowie. Znajduje się tu między innymi „Traktat moralny", drukowany w „Twórczości" (1948, w numerze 4), ukazujący niebezpieczeństwa, jakie czyhają na młodego intelektualistę w systemach totalitarnych. Warto tu wskazać na kilka ulubionych wierszy poety, które recytuje na wieczorach autorskich: „Do Jonathana Swifta" (otwierający tom), „Koncert", „Kolędnicy" i „Mittelbergheim" (dedykowany przyjacielowi, Stanisławowi Vincenzowi).

„Traktat poetycki", wydany także w Paryżu (ukazuje się tu większość książek Miłosza) w 1957 roku, zawiera próbę wypracowania „nowej dykcji", nowego języka poetyckiego i funkcji poezji oraz krytyczny stosunek do współczesnej poezji polskiej. Jest utworem bogatym i trudnym, ale niezmiernie ważnym dla współczesnej literatury polskiej.

W kolejnych dwóch zbiorach: „Król Popiel i inne wiersze" (1962) i w „Guciu zaczarowanym" (1964), wydanych także w Paryżu, poeta nawiązuje do mitycznych dziejów Polski, do tradycji baroku oraz problemów metafizycznych i religijnych, np. „Oda do ptaka", „Sroczość", „Rozmowa na Wielkanoc 1620 roku".

W 1967 roku w Londynie „Oficyna Poetów i Malarzy" wydaje wybór wierszy Miłosza.

„Miasto bez imienia" (1969) ukazuje się w Paryżu. Tytuł pochodzi od zamieszczonego w tym zbiorze poematu, w którym z większą intensywnością dochodzą do głosu wspomnienia rodzinnych stron autora, zabarwione refleksją nad przemijaniem i przemijalnością, powiązane z epoką romantyczną, jak w jednym z wierszy:

Z flecikami, z pochodniami
i bęben bum-bum.
O, to ten co przegrał nad Bosforem tam na przedzie.
Swoją pannę za pod rękę tutaj wiedzie
i jaskółki przed nimi latają.
Wiosła niosą albo kije liśćmi owinięte
i znad Jezior Zielonych bukiety.

Coraz bliżej ulicą Zamkową —
i już nic, to tylko stoi obłok
nad Sekcją Twórczości Oryginalnej
Koła Polonistów.

A książek tośmy całą bibliotekę napisali.
A krain tośmy co niemiara zjeździli.
Bitew dużośmy, dużo, przegrali.
Aż i nie ma, nic nas ni Maryli.

W 1973 roku ukazuje się angielski tom poezji Miłosza: „Selected Poems" (Introduction by Kenneth Rexroth, The Seasbury Press, 1973).

W Paryżu ukazuje się zbiór „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada". Identycznie brzmi trzeci werset „Psalmu 113(1—9) " w przekładzie, z oryginału, Miłosza, co może posłużyć jak klucz interpretacyjny całego tomu. W lirykach tego zbioru poeta krytycznie, z powątpiewaniem odnosi się do swoich wierszy („Ryba", „Nie tak", „Tak mało").W poemacie „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" dokonuje próby uwiecznienia litewskiej ziemi rodzinnej i ukazuje życie w sakralnym wymiarze. W poetyckim wyznaniu wiary powołuje się na Pismo Święte i cytuje profetyczne pisma Blake'a. Mówi tam: „Każda rzecz ma więc dla mnie podwójne trwanie. /I w czasie i kiedy czasu już nie będzie".

Najobszerniejszy wybór wierszy Miłosza jaki się ukazał, to wydany na dobrym papierze, w płóciennej, zielonej oprawie ze złotymi literami tom „Poems — Utwory poetyckie", z angielskim wstępem Alexandra Schenkera (nakładem Michigan Slavic Publications, w Ann Arbor, 1976).

Powieści Miłosz napisał dwie. Pierwszą — w 1952 r. pt. „La Prise du Pouvoir", wydaną w Gallimard (Paris 1953). Otrzymała ona Prix Littéraire Européen (1953). Na konkurs ogłoszony w Genewie przez Les Guildes du Livre autor zgłosił rękopis (anonimowy — tak przewidywał regulamin) w języku francuskim. Powieść miała wydania w językach: polskim („Zdobycie władzy", Paryż 1955), niemieckim, angielskim, hiszpańskim, Gujarati, Telugu, indonezyjskim.

Druga powieść „Dolina Issy" (Paryż 1955), wydana w językach: francuskim, niemieckim i włoskim, ukazuje we wspomnieniach z dzieciństwa obrazy przyrody znad rzeki Niewiaży. Autor zaprzecza, jakoby miała to być powieść autobiograficzna.

Pierwszy zbiór esejów Miłosza pisany był w czasie okupacji. Z tej książki, w której autor „próbował odpowiedzieć sobie na pytanie dlaczego duch europejski poniósł tak okropne fiasco", zachował się esej o Witkiewiczu, drukowany po wojnie w Londynie w „Nowej Polsce" (1946, w zeszytach 4 i 5). U nas ukazał się w księdze pamiątkowej „Stanisław Ignacy Witkiewicz, Człowiek i twórca" (Warszawa 1957) pt. „Granice sztuki". A także zachowały się trzy eseje drukowane w „Prywatnych obowiązkach": o Danielu Defoe („Legenda wyspy"), o Balzaku („Legenda miasta-potwora") i „Religijność Zdziechowskiego". Pozostałe pisane były o Stendhalu, Gide, Williamie Jamesie. Wpleciony był tam fragment z „Wojny i pokoju" Tołstoja jako ilustracja tezy autora.

W 1953 roku Miłosz wydał w Paryżu traktat polityczny „Zniewolony umysł", który został przetłumaczony na sześć języków.

W „Kontynentach" (Paryż 1958) zamieścił eseje literackie i przekłady poetyckie, między innymi esej o poezji dwudziestolecia międzywojennego na przykładzie Czechowicza.

Natomiast „Rodzinna Europa", wydana w rok później, zawiera intelektualną biografię oraz wspomnienia z Wilna i z podróży po Europie. Wydana w językach: niemieckim, francuskim, angielskim („Native Realm").

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci Stanisława Brzozowskiego (1961) Miłosz pisze o nim studium, które wydaje w 1962 w Paryżu pod tytułem „Człowiek wśród skorpionów". Pisze tak: „W literaturze polskiej, przeciążonej, jak może żadna inna, fałszywymi wielkościami, których się nie tyka dla świętego spokoju, ustalanie właściwych rang nie przychodzi bez trudu".

Z kolei w „Prywatnych obowiązkach" (Paryż 1972) zajmuje się sytuacją współczesnej literatury zachodniej (Sartre, Beckett, Eliot), a także problemami historii polskiej literatury i kultury. Pisze między innymi o poezji Aleksandra Watta, o Gombrowiczu i Sienkiewiczu. Znajdują się tu też przekłady z Yeats'a Kawafisa oraz mały traktat o poezji napisany przez Oskara Miłosza. Zamieszczone są tu również ocalałe „Eseje warszawskie" z lat okupacji, o których wyżej wspomniano.

W 1977 roku wychodzą dwie książki Miłosza. Zbiór esejów publikowanych już wcześniej po polsku i po angielsku „Emperor of the Earth; Modes of Scentric Vision" ((The University of California Press), oraz „Ziemia Ulro" (Paryż), zawierająca pytanie o genealogię osobistą autora oraz próbę prześledzenia kryzysu kultury współczesnej jako dalszego ciągu „romantycznego przesilenia". Są tu ciekawe rozdziały o Williamie Blake, Dostojewskim, Gombrowiczu, Mickiewiczu, Oskarze Miłoszu, krewnym i duchowym ojcu Czesława, Swedenborgu i innych.

I ostatnio — przed rokiem — wydany zbiór „Ogród nauk" (Paryż), napisany w formie księgi cytatów i komentarzy do nich, gdzie świadomość pisarza na sposób hermeneuty „rozpoznaje siebie w myśli innej". Znajduje się tu nowa wersja przekładu „Księgi Eklezjastesa" (poprzednio drukowanej w „Tygodniku Powszechnym" 1977, nr 11 i 12), a także interesujący esej „Niemoralność sztuki".

Leonard Górski

MIŁOŚĆ-HONOR-OJCZYZNA

Maria Bechczyc-Rudnicka

PO zakończeniu sezonu 1979/80 bardzo piękną inscenizacją „Odprawy posłów greckich", która zyskała aplauz m. in. w zaprzyjaźnionych z Lublinem Jassach oraz w stolicy Rumunii. Teatr im. J. Osterwy otworzył sezon nowy również okazale: „Cydem" Piotra Corneille'a.

Ta reprezentatywna tragedia francuska w transkrypcji Wyspiańskiego stała się poniekąd *(toutes proportions gardées)* kompensatą za brak na zeszłorocznych uroczystościach jubileuszowych przyrzekanego „Wesela"...

Pisaliśmy niedawno w „Kamenie" (nr 20 bz. — „Prognoza pogody") o nadziejach, jakie można wiązać z objęciem dyrekcji lubelskiego teatru dramatycznego przez słynnego stołecznego aktora i reżysera, Ignacego Gogolewskiego. Otóż aprobata naszej publiczności z miejsca znalazła wyraz w tym, co najważniejsze — we wzmożonej frekwencji. „Cyd", że tak powiem, używając potocznego języka teatralnego, „idzie przy kompletach".

Inscenizacja dyr. Gogolewskiego jest, wolno chyba tak sądzić — sygnałem zamiaru stworzenia w Lublinie teatru powszechnego w najlepszym sensie słowa, tj. mającego na względzie ogół publiczności. Ten „Cyd" może się podobać jednocześnie tzw. widzom „masowym" i wytrawnemu znawcy sztuki teatralnej — rzecz prosta, dlatego, że będąc komunikatywny, nie zniżył się do gustów niewybrednych. Życzymy więc Teatrowi im. J. Osterwy podobnego dalszego ciągu, co nie znaczy, bym przypuszczała, iż nowa dyrekcja nie pokusi się o wprowadzenie na drugą scenę pozycji eksperymentalnych, oczywiście w chwili, gdy teatr będzie na to stać (i we właściwych proporcjach).

Ale przejdźmy do konkretów omawianego spektaklu „Cyda".

Jest to przysposobiona dla Teatru im. J. Osterwy i wykonana przez jego zespół replika widowiska, które Ignacy Gogolewski zrealizował, przy współpracy scenograficznej Mariana Kołodzieja, parę lat temu w warszawskim Teatrze Polskim. Koncepcję nasunął pierwotny kształt sceniczny parafrazy Wyspiańskiego, zasugerowany w dużej mierze przez samego poetę przygotowującym prapremierę 1907 r. — Ludwikowi Solskiemu, ówczesnemu dyrektorowi krakowskiego teatru, i Grzymale-Siedleckiemu, jego kierownikowi literackiemu. Grzymała wspomina m. in., że zgodnie z sugestią Wyspiańskiego, zasadniczy pomysł dekoracji został zapożyczony z architektury obrazu Paola Veronese „Uczta w Kanie Galilejskiej". Z kolei Wyspiański przystał na propozycję inscenizatorów, by spektakl nawiązywał do prezentacji Kornelowego „Cyda" w Zamku Warszawskim na Sejmie Roku 1661, w obecności Jana Kazimierza i Marii Ludwiki, rodaczki Corneille'a. Zainscenizowano więc na wstępie ową obecność i wprowadzono piękny patriotyczny Prolog „Wisła" pióra pierwszego tłumacza tragedii, Andrzeja Morsztyna. Wyspiański nawet ze swej strony napisał Prologus przywodzący na pamięć społeczeństwu ów chlubny moment dziejów Polski.

Taka jest geneza aktualnej warszawsko-lubelskiej inscenizacji „Cyda". Lecz, ma się rozumieć, koncepcja krakowska posłużyła Gogolewskiemu i Kołodziejowi tylko za punkt wyjścia do własnych oryginalnych pomysłów.

Nie po raz pierwszy zaczynam relację od opisu scenografii. W danym wypadku jest to tym bardziej uzasadnione, że scenografia Mariana Kołodzieja przydaje lubelskiemu spektaklowi dużo blasku.

Już choćby ściągnięcie precz z oczu widzów pokutującej u nas od kilku lat tandetnej jaskrawoczerwonej pluszowej kurtyny pozwala wierzyć, że przedstawienie odbywa się nie w pośledniejszym teatrze prowincjonalnym. Zastąpiono ją prześliczną zasłoną — imitacją starego sztychu z panoramą Warszawy, napisem *Vistula*, z nadbrzeżnym krajobrazem podmiejskim, gdzie dostrzegamy m. in. wkomponowany *(ad hoc!)* miniaturowy drogowskaz: LUBLIN.

Na schodkach proscenium złożono chorągwie-trofea, jakby symbole sztych dopełniające.

Otwór pudła scenicznego zdobi po obu bokach para kanelowanych kolumienek, odpowiedników tych, które stanowią część składową obramowania podestu na drugim planie sceny. Nie brak tu ornamentów w postaci tarcz herbowych, armatnich luf, no i amorków, nieodzownych skoro miłość w tej XVII-wiecznej tragedii tyle znaczy.

Za podestem (w pierwszej części spektaklu) „spatynowany" obraz nieba z zarysami dalekiej wieży i jakichś majaczących wśród obłoków postaci. Summa summarum — architektura i „malatura" udatnie stylizowana na Renesans pseudoklasyczny.

Zgoła zaś nowoczesnym, trafnym, pomysłem jest umieszczenie na scenie, poza zespołem pseudoklasycznym, dwóch loż z szeregiem manekinów pozorujących magnatów polskich, widzów prezentacji anno 1661. Inna sprawa, że przydając iluzyjnego monumentalizmu wstępnemu „żywemu obrazowi", może stają się owe manekiny zbędne (jakby „drętwieją") w trakcie zasadniczej akcji?

Spektakl poprzedza muzyka (Waldemara Kazaneckiego), pobrzmiewająca staroświeckim dźwiękiem klawikordu. Później, podczas całego spektaklu, usłyszymy sporo śpiewu, wykonywanego *de rive-voix* (z nagranym towarzyszeniem różnych instrumentów) przez Kapelę, bądź usadowioną w należącej do kompozycji scenograficznej loży, bądź przechodzącą krokiem tanecznym przed kurtyną. Hanna Pater, Tadeusz Kuduk, Maciej Polaski, Andrzej Redosz, Waldemar Starczyński, przyodziani w stylizowane kostiumy renesansowe, spełniają swe zadanie z dużym wdziękiem, niemniej wydało mi się, że zwartość akcji nieco ucierpiała na wprowadzeniu takiej Kapeli, komentującej raz po raz poszczególne sceny powtarzaniem kluczowych wersów tekstu (co ma na celu podbarwienie balladowe inscenizacji). Byłaby to jedyna poważniejsza wątpliwość, jaką wzbudziła we mnie ogólna koncepcja inscenizacyjna Ignacego Gogolewskiego. Zresztą — rzecz do dyskusji. Sama na widzianych przeze mnie paru następnych spektaklach „Cyda" przyzwyczaiłam się do owej Kapeli, co prawda odbierając ją już raczej jako tło muzyczne.

Wracając do początku, odnotujmy piękne brzmienie Prologu Wyspiańskiego, który recytował I. Gogolewski (nagranie nadane przez głośnik). Potem kurtyna idzie w górę, następują gromy i błyskawice, symbolizujące zapewne sprawy wojenne Jana Kazimierza, wreszcie — światło i podziwiamy „introdukcję" wizualną, sygnalizowany wyżej żywy obraz odwołujący się do prezentacji z r. 1661. Jeszcze chwila... Król powstając daje znak berłem — rozpoczyna się akcja „Cyda" Piotra Corneille'a w transkrypcji Wyspiańskiego.

Przyznam się dziś otwarcie, że gdy oglądałam przedstawienie na uroczystej premierze, ogarnęły mnie obawy, czy aby ten cały splendor inscenizacyjny nie przytłoczy aktorów Teatru im. J. Osterwy. Otóż nie! Mam zwyczaj kontrolować swoje wątpliwości i cóż się okazało? Już trzeciego wieczora widowisko lubelskie Ignacego Gogolewskiego tętniło pełnią życia. Po części naturalnie za sprawą pokonania wzmożonej tremy, ale, sądzę, też i dlatego, że spektakl potoczył się zdecydowanie „według" Wyspiańskiego, z wyzbyciem się aspiracji do stylistycznej *grandezzy* Corneille'a. Swojskość parafrazy, uzyskana wprawdzie kosztem utraty niejednej perły wytwornego języka poetyckiego francuskiego klasyka, przybliża dzieje Rodryga i Szimeny do naszych aktorów. Pomogło im przede wszystkim to, że Wyspiański przełożył monarchistyczny heroizm francuski XVII wieku na polskie umiłowanie Ojczyzny i że zadbał też o zachowanie doskonałości żywych postaci Corneille'a.

Aktorzy Teatru im. Osterwy zdołali wiernie odtworzyć szlachetne charaktery wychodzące zwycięsko z tragicznego konfliktu między miłością a nakazami honoru.

Rodrygo, ten idealny wzór rycerza bez strachu i bez zmazy, interpretowany przez Henryka Sobiecharta, zdobył sympatię współczesnej widowni swą skromnością w bohaterstwie i przeczystym ofiarnym kochaniem. Słynne stance z I aktu zostały przekazane ze szlachetnym liryzmem. Ani przez chwilę też nie skaził sztuczny patos wspaniałego Opowiadania Rodryga, które tchnie młodzieńczym zapałem. Na tym miejscu tylko jedna uwaga: nawet w bardzo nowoczesnej inscenizacji klasycznego przecie „Cyda" nie godzi się od razu pokazywać pleców królowi hiszpańskiemu, może się to przydarzyć jedynie z chwilą zapamiętania się w pasjonującym opowiadaniu.

Podobnie niewiarygodnym naruszeniem etykiety dworskiej było uklęknięcie Infantki u stóp Szimeny w drugiej scenie części II widowiska. Poza tym zaś Infantka Niny Skołuby jest nader atrakcyjna (pomyśleć, że Ludwik Osiński usunął tę postać ze swego przekładu!). Zresztą Skołuba i wbrew analizie Wyspiańskiego, o której wspomina Grzymała - Siedlecki, gra Infantkę taką, jaką stworzył Pierre Corneille' od początku rozkochaną w Rodrygu, daremnie walczącą z miłością w imię konwenansów dynastycznych. Wychodzi to przedstawieniu na dobre.

Z kolei Anna Świetlicka jako Szimena zasługuje na szczery poklask za subtelne przejścia od narzuconej sobie postawy nieugiętej mściciełki niemal do podważającego ową postawę załamania się. Dzięki poczuciu miary w ukazywaniu tych przeciwstawnych stanów tragiczna postać Szimeny stworzona przez Świetlicką jest naprawdę przejmująca. Do najlepszych momentów należy monolog ze sceny 4 aktu V *(O Boże, Boże, moczy Boże.// W rozterce, ciągle w rozterce)*. Natomiast nieco zwulgaryzowano scenę z Don Sanszem (po pojedynku).

Nie wypada chyba polemizować z wieszczem, cóż kiedy jakoś nie mogę pojąć, czemu Wyspiański — tłumacz uważał Don Diega za „nudziarza" (znów — świadectwo Grzymały). Wydaje mi się, że zwłaszcza w scenie zatargu z Gomezem ojciec Rodryga budzi sympatię raczej powściągliwym zachowaniem. Ryszard Kolaszyński umie pokazać takt i rozum Diega, a jego monologiem po zniewadze — wywołał głębokie wzruszenie.

Również prawdziwa jest postać Don Gomeza w wykonaniu Jerzego Mędrkiewicza. I jakże niestety aktualna we wszystkich epokach i ustrojach. Znamy niezliczone przykłady przejawów takiej zgubnej pychy u ludzi skądinąd zasłużonych. Ojciec Szimeny wszak nie jest na wskroś „czarnym charakterem". Mędrkiewicz umiejętnie pokazał jego ludzkie odruchy w scenie z Rodrygiem, którego hrabia traktuje niemal po ojcowsku.

Wiadomo, że prototyp wspaniałego bohatera tragedii Corneille'a, Don Rodrigo Diaz de Bivar, sławny Cid Campeador, walczył zwycięsko z Maurami za króla Kastylii Ferdynanda I Wielkiego (1033—1065), czyli w wieku XI. Ale nie ten król hiszpański z odległej epoki stał się modelem dla postaci Kornelowego Don Fernanda. Pisząc swego „Cyda" za panowania we Francji Ludwika XIII i kardynała Richelieu kiedy światlejsza opinia publiczna przeciwstawiała przeżytkom feudalizmu reprezentujący rację stanu królewski absolutyzm, Corneille ze swej strony stworzył ideał monarchy wprawdzie absolutnego, lecz stosującego przekonywanie miast twardych nakazów. Ideał wielkodusznego króla-humanisty.

Piotr Wysocki, jeden z najbardziej cenionych aktorów Teatru im. J. Osterwy, nader umiejętnie odtworzył ten główny rys charakteru Don Fernanda: jego życzliwość dla otoczenia połączoną z królewską powagą.

Role Eleonory i Elwiry zostały zredukowane w inscenizacji do minimum, tedy obsadzone w nich: Zofia Stefańska i Anna Torończyk nie miały wielkiego pola do popisu. Mimo to warto zaznaczyć, że Eleonora, „towarzyszka" Infantki, z powodzeniem nadrabiała brak tekstu wyrazistą mimiką. Co zaś się tyczy Elwiry obsadzenie w tej roli bardzo młodej aktorki było chyba eksperymentem. Obydwie panie to przecie w pojęciu hiszpańskim tzw. dueńe (Corneille nazywa je — *gouvernantes*), a Toronczykówna wygląda raczej na wychowankę Świetlickiej — Szimeny. No, ale ostatecznie w tej koncepcji Anna Torończyk wychodzi z zadania obronną ręką: przejmuje się szczerze zmartwieniami hrabianki (ma się wrażenie, że sama jest trochę zadurzona w urodziwym Rodrygu — cóż to szkodzi?).

Jerzy Turowicz gra rywala Rodryga, rycerskiego Don Sansza, nobliwie, bez afektacji. Witold Zarychta i Jan Wojciech Krzyszczak to, co mieli do powiedzenia w minirolach dworzan: Don Alonza i Don Ariasa — powiedzieli z należną godnością. Krzyszczak nie zmarnował szansy danej mu w rozmowie z krnąbrnym „dygnitarzem", Don Gomezem.

Dobre słowo należy się mistrzowi Witoldowi Grucy za precyzyjnie opracowany ruch sceniczny. Może optymistyczny finał taneczny nieco przydługi, lecz skoro aktorzy tańczą ładnie...

Kiedy niniejsza relacja dobiegała końca, dotarła do mnie niespodziewana wiadomość: wobec nagłej niedyspozycji Henryka Sobiecharta wystąpi gościnnie w roli Rodryga Leszek Teleszyński. Gdy zapytano mnie po spektaklu: „Kto jest lepszy?" — odpowiedziałam tak, jak odpowiadają w podobnych wypadkach dzieci: „Oba...". Gdyby byli śpiewakami, powiedziałabym, że Sobiechart jest tenorem lirycznym, a Teleszyński tenorem dramatycznym. W opowiadaniu o zwycięstwie nad Maurami wyczuwało się, że jego Rodryg już dobrze zna swoją cenę. Pięknie wypadły stance z aktu I, rozmowy z Szimeną, słowem warszawski aktor niewątpliwie w pełni zasłużył na rzęsiste brawa, którymi go nagrodziła nasza publiczność, wypełniająca salę po brzegi.

Odnotujmy, że za sprawą tego przypadku udało się dyr. I. Gogolewskiemu rychło spełnić obietnicę zapraszania aktorów Teatru Polskiego do udziału w spektaklach Teatru im. J. Osterwy.

W sumie więc moja „prognoza pogody" na lubelskim obszarze teatralnym jest nadal pomyślna.

Między okładkami

Elżbieta Cichla-Czarniawska. W drodze do wierchu, (O twórczości Jalu Kurka), LSW, 1979.

Na dobrą sprawę Kurek awangardzistą nie był. Owszem, do grona Pelpera, Przybosia i Brzękowskiego się zaliczał, ponieważ „Zwrotnica" wychodziła w Krakowie, ale emocjonalny nurt jego poezji w żaden sposób nie korespondował z architektonicznym wzorcem poetyki awangardowej. Po ukazaniu się jego powieści „Młodości, śpiewaj!" Kazimierz Czachowski nazwał go romantykiem. A przeczytajmy, jak zdecydowanie przeciw romantyzmowi w imieniu całej awangardy zażegnywał się Pelper. Więc co ciągle o awangardowości Kurka? Powtórzmy: „Zwrotnica" wychodziła w Krakowie, a młody krakowski autor z natury rzeczy odczuwał potrzebę druku i to cała filiacja. Inaczej mimo „Linii", będącej notabene nieprawym dzieckiem, do którego sam ojciec Pelper się nie przyznał, nie da się tej sprawy widzieć.

Zachodzi tylko pytanie, czy aż trzysta stron należało poświęcić monografii żyjącego autora, w dodatku niewiele dodając do subiektywistycznego recenzenckiego naświetlenia jego tekstów? Niestety, książka staje się bardziej pozycją w pragmatyce wydawniczej, aniżeli obrazem twórczości, a już na pewno nie — głosem w dyskusji nad współczesnym obrazem i celem literatury. Sama zresztą autorka powiada: „Zarzucono Kurkowi powierzchowność, rezonerstwo, brak pomysłowości felietonowej, zastępowanie głosu moralisty liryką". Nie jest to opinia całkowicie bezpodstawna. W stosunku do czytelniczego rezonansu, o jaki chodzi temu pisarstwu, ma się prawo oczekiwać więcej intelektualnej adekwatności problemom, mniej uproszczeń pokrywanych liryką rzeczywiście zbyt często pośpieszną. Kurek w ten sposób znajduje się na pozycji kogoś oczekującego uznania za osiągnięcia mniejsze niż dokonania innych pisarzy przyjęte raczej chłodno.

Trzeba jednak przyznać, że autorka monografii nie zagalopowała się w bezkrytyczny pean i dała garść rzeczowych informacji. Szkoda tylko, że w książce za mało tła, za mało specyfiki czasu, który ze względu na występujące w nim osoby jest zawsze czytelniczo atrakcyjny. Zresztą — jest Kurka „Mój Kraków", a Cichla-Czarniawska nie mogła na ten temat wiele dorzucić ze względu na swoją własną biografię.

■

Tadeusz Hołuj: Ciąg dalszy. Szkice o przygodach utworów, Wydawnictwo Literackie, 1980.

Narzuca się podobieństwo z Romana Bratnego „Pamiętnikiem moich książek". To samo. Ta sama relacja z okoliczności towarzyszących powstawaniu dzieł, okoliczności widzianych przez samego autora. Czy jednak całkiem? U Bratnego — trzeba przyznać — jest znacznie więcej samousprawiedliwień, więcej niechęci skierowanej na środowisko. Hołuj postąpił bardziej lojalnie: mając temat, nie wykorzystał go jako trybunę oskarżycielską pod adresem kolegów.

Zachodzi tylko pytanie, czy pisać o powstawaniu własnych książek ma jakąkolwiek wartość dokumentalną. Czy nie jest to raczej coś w rodzaju monologu wewnętrznego, który znacznie sposobniej realizuje się na każdy inny temat. Poza tym dla siebie zawsze znajdziemy wyrozumiałość nawet tam, gdzie jej nie widzą inni, więc powstaje posądzenie o autolakierniczestwo. Ale cóż. Na pewnym etapie drogi pisarskiej powstaje potrzeba spojrzenia wstecz, odbycia dialogu z sobą samym przesłoniętym kotarą czasu, więc Hołuj — może nawet i słusznie — tej pokusie się nie oparł. Chcielibyśmy jednak znaleźć więcej światopoglądowej refleksji, więcej nawet starczości, jeśli ta byłaby zaprawiona z dystansu płynącym spokojem, a niechby i goryczą.

Zygmunt Mikulski

Muzyk z Kraśnika

Mieczysława Demska-Trębacz

„WZIĘTY niegdyś nauczyciel na fortepianie, Feliks Ostrowski zszedł w Warszawie z tego świata w 58 roku życia" — doniósł „Ruch Muzyczny" 21 listopada 1860 r. Muzyk, o którym pisano w warszawskiej prasie, zmarł 14 listopada 1860 r. Pochowano go na Cmentarzu Powązkowskim. W ostatnich latach życia był tylko nauczycielem muzyki, choć wcześniej odnosił sukcesy jako pianista-wirtuoz.

Z Lubelszczyzną wiąże Ostrowskiego miejsce urodzenia. Oto co czytamy w wyciągu metrykalnym, sporządzonym „do spisu wojskowego" 19 stycznia 1834 r.: „Proboszcz parafii Kraśnik świadczy na mocy zapisu znajdującego się w księgach metrykalnych parafii kraśnickiej, iż Feliks Ostrowski urodził się dnia trzeciego miesiąca stycznia tysiąc osiemset drugiego roku i jest synem Walentego i Franciszki Ostrowskich". Owym proboszczem miejscowej parafii był ksiądz Antoni Lubaczewski, który piastował zarazem funkcję przełożonego zgromadzenia kanoników regularnych i „sędziego pokoju okręgu kraśnickiego".

Wyciąg metryki jest jednym z nielicznych dokumentów, które pozostały po kraśnickim muzyku. Nie jest bliżej znane jego pochodzenie. Fragmentaryczne są dane o jego życiu, które udało się zebrać badaczowi radzieckiemu Igorowi Bełzie. Zwłaszcza skromne są wiadomości odnoszące się do okresu dzieciństwa.

F. Ostrowski spędził dzieciństwo w Kraśniku. Tam też zapewne pobierał pierwsze nauki. Jak słusznie przypuszcza badacz radziecki, znaczną rolę w życiu Ostrowskiego odegrał wspomniany ksiądz A. Lubaczewski. Jemu zresztą nasz muzyk dedykuje swój dojrzały, a zarazem najbardziej znany utwór **Adagio et Rondo pour Piano** op. 11: „ojcu Antoniemu Lubaczewskiemu, prałatowi kanoników regularnych laterańskich przez ucznia Feliksa Ostrowskiego".

Prałat Lubaczewski był więc przyjacielem, a także kraśnickim nauczycielem muzyki naszego artysty. „Umiłował muzykę, z zapałem starał się zgłębić prawidła harmonii, iż z czasem uczynił w niej znakomity postęp, tak że później liczono go do niepospolitych artystów" — donosi biograf prałata. W roku 1815 Lubaczewski został „powołany na profesora filozofii i teologii" w szkole kraśnickiej. Zapewne w tej to właśnie szkole kształcił się Feliks Ostrowski do momentu wyjazdu do Warszawy. Rektor „szkoły powydziałowej w Kraśniku" (taką funkcję piastował Lubaczewski od 1820 r.) był prawdopodobnie tym, który pomógł młodzieńcowi udać się na studia muzyczne do stolicy. Słynął bowiem z tego — jak pisze J. Wyszyński — że „wiele jagniątek pańskich wypielęgnował".

Wzmianki prasowe dowodzą, że Feliks Ostrowski kształcił się w konserwatorium. W „Kurierze Warszawskim" z 27.II.1827 r. mowa jest, iż „Pan Ostrowski wyszedł z Warszawskiego Muzycznego Konserwatorium". Z tej samej korespondencji dowiadujemy się, że był uczniem Wacława Wilhelma Würfla, cenionego pianisty, który w latach 1821—1824 (a właściwie do 1823 r., ostatni rok chorował) nauczał „grania na organach i nauki praktycznej generałbasu" na Wydziale Sztuk Pięknych. Nazwisko F. Ostrowskiego figuruje na liście uczniów, którzy w roku 1821 zostali zapisani do klasy organów w nowo powołanym Instytucie Muzyki i Deklamacji.

F. Ostrowski prawdopodobnie koncertował będąc jeszcze studentem. Istniał bowiem zwyczaj, że zdolni uczniowie konserwatorium brali udział w imprezach organizowanych na cele charytatywne. W roku 1827 prowadzi już żywą działalność wirtuozowską. Odnosi sukcesy, czego dowodem jest korespondencja z Kijowa zamieszczona w „Kurierze Warszawskim" (25.II. 1827). Dowiadujemy się z niej, że „w czasie swego koncertu na fortepianie obsypany był rzęsistymi od publiczności oklaskami, a podług zdania pierwszych tam na ten czas będących artystów zbliżył się do tej doskonałości, do jakiej jego godny nauczyciel (Würfel-MDT) na tym doszedł instrumencie". Koncert Ostrowskiego odbył się w okresie „kontraktów" kijowskich, na które zjeżdżali sławni muzycy. Było ich wielu również w roku 1827. 25 lutego dali oni koncert „na dochód dla inwalidów". Wzięli w nim udział: „Lipiński, Serwaczyński, Krogulski, Łopata, Pawłowska, Ostrowski i arfista Szulc". Wśród wymienionych przez korespondenta artystów obok Ostrowskiego znajdowało się jeszcze dwóch muzyków z Lubelszczyzny: sławny Karol Lipiński i lublinianin, wówczas koncertmistrz we Lwowie, Stanisław Serwaczyński.

Kariera wirtuozowska Ostrowskiego trwała do lat czterdziestych ubiegłego stulecia. W czasie działalności pianistycznej występował w Polsce, na Litwie (tam też przebywał jakiś czas), na Ukrainie i w Petersburgu. Entuzjastyczne były recenzje z koncertów. Słynął z perlistej techniki palcowej, dzięki której otrzymał przydomek „Feliks brylantowy". W czasie koncertów w Petersburgu wykonywał między innymi utwory Chopina.

Ostrowski wypowiadał się nie tylko jako odtwórca, ale i jako kompozytor. Utwory pisał przede wszystkim dla siebie. Z jego dorobku twórczego wiele zaginęło. Obecnie znanych jest tylko kilka utworów. Zresztą już w momencie śmierci pamiętano o nielicznych. Prasa donosiła, że „prócz kilku ulotnych kompozycji pisał Adagio i Rondo, wydane u Friedleina w Warszawie". Egzemplarz tego utworu znajduje się w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tam też jest drugi i trzeci polonez Ostrowskiego. Bełza znalazł w Leningradzie jeszcze dwa polonezy, powstałe przed 1822 r. W posiadaniu leningradzkiego pisarza Borysa Ostrowskiego, wnuka Feliksa, znajduje się również egzemplarz **Adagia i Ronda** op. 11. Ten to utwór doczekał się ponownej publikacji. Wydano go w Moskwie w roku 1958. Zaginęły natomiast pozostałe utwory w ilości co najmniej dziesięciu opusów. A miały być wśród nich nokturny, mazurki, polonezy i sonaty.

Szczególną wagę należy przywiązywać do polonezów. Analiza powstałych jeszcze przed 1822 r. polonezów Ostrowskiego pozwala stwierdzić, że stanowią one ogniwo pośrednie prowadzące od Ogińskiego, Elsnera i Kurpińskiego do polonezów Chopina. Utwory Ostrowskiego są różne od kompozycji jego poprzedników. Łączą lirykę i heroizm z „poematyzowaniem". Obecne są w nich ślady ludowych wątków melodycznych, których wiele dostarczyła Ostrowskiemu wieś podkraśnicka w okresie dzieciństwa i wczesnej młodości. Za wpływ lubelskiej tradycji — przynajmniej częściowy — można uważać fakt uprawiania formy poloneza przez Ostrowskiego. W Lublinie działał przecież w drugiej połowie XVIII w twórca sławnego „Poloneza Kościuszki" A. J. Barcicki, pianista, pedagog i kapelmistrz katedralny. Na przełomie XVIII i XIX w polonez stał się wykładnikiem polskiego stylu narodowego w muzyce.

Przesiąknięty ideami, którymi żyło polskie środowisko artystyczne, tj. umiłowaniem tradycji narodowej i folkloru, muzyk kraśnicki też komponował polonezy. Utwory te musiał znać młody Chopin. Studiując w Warszawie Ostrowski znajdował się w środowisku, w którym przebywał również Fryderyk Chopin. Przyjacielem Mikołaja Chopina był nauczyciel Ostrowskiego. „Poczciwe Würfflisko", jak mawiał o nim Fryderyk, często bywał w domu Chopinów. W czasie wspólnego muzykowania z młodym Fryderykiem zapewne zaznajomił go również z polonezami swojego ucznia. Były to przecież nowe utwory utalentowanego pianisty. W zakresie formy poloneza można uważać Ostrowskiego za jednego z poprzedników Chopina. Wielki talent kompozytorski Chopina nie powstał ex nihilo. Szukając polskich filiacji stylu wielkiego twórcy pamiętajmy, że jego poprzednikiem jest też muzyk z Kraśnika, obecnie zapomniany Feliks Ostrowski. Podzielił on los wielu polskich artystów ubiegłego stulecia, których domeną działalności muzycznej było wykonawstwo a nie twórczość.

● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

Radości i smutki młodego poety

„PISANIE życiorysu" Jerzego Krzysztofa Misca prezentuje bohatera, który chciałby wiele uczynić, ale przeciwności losu hamują jego działania i powodują bezradność. Podmiot wierszy próbuje uzmysłowić sobie rozmaite stany, w jakich znajduje się człowiek. Stawia pytania: co znaczy kochać, nienawidzieć, umierać itp. Sposób jednak, w jaki to czyni, budzi podejrzenia, iż kokietuje on odbiorcę (słuchacza jego słów, podglądacza jego gestów). Rozważając np. problem śmierci, mówi:

a więc to tak się umiera
bezszelestnie na palcach
przypominając imię
pijąc kawę
paląc tytoń...
... obgryzając paznokcie...
... przy stoliku w kawiarni...

Jeżeli umieranie to ma wyrażać sens dosłowny, wówczas zauważyć można, że jest to proces łagodny; w gruncie rzeczy nie niosący tak wiele cierpienia i jako taki niekoniecznie musi być tak akcentowany. Jeśli natomiast owo umieranie ma wyrażać niemoc działania, obumieranie twórcze itp., to miast konstatować ów smutny fakt, lepiej próbować innych, może bardziej owocnych czynów.

Działania bowiem, jakie podejmuje podmiot, wskazują na wielką bezradność: wydrapywanie na ścianie w WC „słów z wczorajszego filmu", zaciskanie do bólu powiek „jakbym za chwilę miał uderzyć", jak również wyrażanie żalu, że „nikt nie wspomniał o kierunku jazdy" nie zmieni w żadnym stopniu niekorzystnej sytuacji.

Razi niepotrzebny ekshibicjonizm, który z jednej strony jest przejawem demiurgicznej pychy (dedykowanie wiersza „wszystkim poetom wszechświata", z drugiej dowodzi dużej bezsilności i wynikającej stąd potrzeby wyspowiadania się przed wszystkimi. Nie może być potrzebna poezja, która obraca się wokół problemu własnego istnienia. Jest denerwująca, gdy histerycznie broni swego prawa do życia. Zraża odbiorcę, wprowadzając go w ukształtowany od wiek wieków na użytek maluczkich schemat poezji nirwanicznej, szukającej dopingu nie w penetracji rzeczywistości i obronie wartości, ale w kawiarnianej atmosferze nihilizmu:

od poezji
umieram na sen
w kącie pokoju
z którego za chwilę
wyniosą mnie ze śpiewem
na ustach

Stosowanie sugestywnych, być może, ale przecież wcale nie tak szokujących metafor typu „sąsiad znów gwałci twoją żonę / w jej pochwę wgryza się zwierzę / zawzięte", jak również akcentowanie swojej obecności w świecie przez wyrażanie ochoty „strzelania w mordę", nie wpływa także na poziom i siłę literackiego wyrażania.

Próbuje autor pogłębić prezentowany życiorys; umieścić go w kontekście historii własnego osobistego życia, rodziny, szeroko rozumianej ludzkości itp., ale ten nurt, który pomógłby zrozumieć postawę podmiotu w różnych kontekstach, określić jego etos: z którym można by polemizować lub który chciałoby się akceptować, wymyka się w stereotypowe: „słyszysz jak mi po polsku serce bije".

Jak to często w poezji bywa, najlepsze są tu teksty nie będące tzw. „liryką osobistą" sensu stricto. Interesujące są próby zrozumienia, sygnalizowania „współczesnych mitologii" ludzi chowających skrzętnie „modlitewniki prasy codziennej", „aforyzmy świętych z codziennych gazet". Ten kierunek subtelnego obnażania mechanizmów tworzenia „nowej religii" jest na pewno wciąż aktualny. Przykładem owego nurtu, broniącego w sposób dojrzały godności człowieka jest „Komentarz":

poniżeni będą wywyższeni
ci z parterów będą mieszkać na dachu
ci z ostatnich pięter pójdą do piwnic
tych ze środka sąd ostateczny nie obejmie
będą czekać na nowy raj z owocem zakazanym

Szkoda, że ten sposób rozumienia świata nie dominuje w tekstach, które niepotrzebnie posiłkują się nic nie znaczącymi uwagami w rodzaju „nie ma pewności że Fromm nie był zboczeńcem seksualnym", czyniącymi poważny skądinąd wiersz nieco śmiesznym.

Przedstawione w tekstach niepokojące sytuacje prowadzą do logicznie przez autora sformułowanej myśli, iż „nieskończone jest kurestwo niebieskiego świata tego". Pozostaje życzyć sobie, aby powstało jak najwięcej wypowiedzi artystycznych, które miałyby szansę stan ów przezwyciężyć.

Andrzej Niewczas

Jerzy Krzysztof Misiec: Pisanie życiorysu, Wyd. Lubelskie, Lublin 1980.

Koniec poezji?

DEBIUT Tomasza Soldenhoffa z Łodzi niesłusznie pozostaje niezauważony. Młody poeta (rocznik 1957) ma wiele do powiedzenia o sprawach tego świata i czyni to w sposób zmuszający do rzetelnego myślenia, do dyskusji, jest kontrowersyjny. W przeddebiutanckim arkuszu poetyckim „Węzeł" w wypowiedzi autointerpretacyjnej Soldenhoff pisał, że od początku towarzyszy mu przeczucie „końca poezji". Takim też tytułem opatrzył swoje oficjalne i samodzielne wystąpienie poetyckie. Ale czy nie jest to tylko młodzieńcza przekora, chęć szokowania absurdalnością? Poeta w tym wieku powinien głosić raczej „początek poezji", jest bowiem dopiero na drodze do inicjacji literackiej.

A zatem tytuł — prowokacja. Czyżby autor uważał że w dobie „rozpasanego rozpisania" naprawdę większym heroizmem jest świadome milczenie jako efekt nadświadomości, czym mogłaby być, a czym jest jedynie poezja lub, szerzej, literatura? Czy jest to dowód i świadectwo zarazem szacunku do słowa? Albo jest to może protest przeciwko pisaniu po to tylko, „by być pisarzem"? (Przypomina się mądre i dowcipne żądanie, aby niektórym pisarzom w Polsce wypłacano regularne honoraria za... niepisanie).

Soldenhoff w swoim tomiku dotyka spraw, które wykraczają poza jego prywatny sposób widzenia poezji i miejsca poety w społeczeństwie, w kulturze. Jego wiersze bowiem ogarniają znacznie szerszy obszar. Nie powinien być on obcy każdemu prawdziwemu poecie. Są to obszary zmęczenia i zwątpienia — jako skutków uświadomionej niewydolności słowa i wszystkich nadużyć, jakie się wobec niego popełnia. Przy tym wszystkim goryczą napawa świadomość nadzwyczaj skromnej roli poety we współczesnym świecie. Poeci — zdaje się mówić Soldenhoff — mało się nad tymi sprawami zastanawiają, jakby przechodząc w zasłepieniu pod zagrożeniem, które ich bezpośrednio dotyczy. I jest to już kwestia nie tylko świadomości, ale też — uczciwości.

Zapalił zatem — i nie gasi — łódzki poeta czerwone światło na literackim skrzyżowaniu. Pyta głośno wszystkich zainteresowanych o kryzys samoświadomości poety i poezji, pragnie wyprowadzić poezję z okolic zmierzchu. Czyżby jeszcze jeden młody gniewny?

W wierszu dedykowanym Romanowi Śliwonikowi szczególnie mocno zamanifestował Tomasz Soldenhoff swoją postawę:

Do kieszeni wsypać trochę chleba,
włożyć fotografię
I na koniec musisz wiedzieć kiedy
przerwać wiersz
Kiedy przerwać: życie miłość
umieranie sen
(„Wiedza")

I gdy dodamy do tego utworu wiersz pt. „Litania", w którym mowa o poetach oddających bezbronnie słowa celne, możemy przez chwilę uwierzyć, że za moment nastąpi pełny i nieodwracalny koniec poezji. Racjonalne staje się błaganie poety: „Ocalcie mnie przed kolejnymi dowodami waszej nieśmiertelności".

Soldenhoff jest w swej poezji wyraźnie zacietrzewiony, gniewny, nie oglądający się poza siebie. Widać, że wiersz jest dla niego rejonem rzeczywistej wolności, w którym można otwarcie kochać, nienawidzieć i buntować się... Ale czy to należy zaraz czynić przy pomocy słów powszechnie uznanych za wulgarne i nie mających absolutnie obywatelstwa w wartościowej poezji? Uwagę tę dyktuje mi nie pruderia językowa, lecz świadomość, że tego rodzaju zabiegi — mimo wszystko — obniżają wartość wcale niebanalnych manifestów.

Emil Biela

Tomasz Soldenhoff: Koniec poezji, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980.

Lech Wałęsa odpowiada na pytania

20 października w hali sportowej w Jastrzębiu odbyło się spotkanie górników z przedstawicielami MKZ w Gdańsku. Wobec około 5-tysięcznego tłumu Lech Wałęsa odpowiadał na pytania zadawane z sali. Było to jedno z kilku spotkań grupy działaczy NSZZ „Solidarność" z Gdańska i Szczecina z ludźmi pracy w regionie krakowskim i na Śląsku. Publikujemy skrót z trwającego ponad dwie godziny dialogu. Wypowiedzi spisane są z taśmy magnetofonowej.

Lech Wałęsa — Proponuję, żeby państwo napisali nam na kartkach to, co was naprawdę nurtuje. My nie przyjechaliśmy rządzić, nie przyjechaliśmy z referatami, ale chcemy się dowiedzieć, jak działać, żebyśmy sobie podali rękę i szli naprawdę w solidarności. Wy wiecie, co się dzieje, jak się dzieje i dlaczego, i wiecie jak z tego wyjść.

— Dlaczego na naszym terenie są dwa oddzielne MKZ: Jastrzębie i Huta Katowice?

— Proszę państwa, to jest źle, ale zarazem i dobrze. Każdy zakład, każda kopalnia powinna znać swoje warunki, swoje możliwości i powinna sama siebie zorganizować. Nie uszczęśliwiajmy nikogo na siłę. Niech zakłady same decydują o sobie, same rozwiązują problemy, a MKZ-y i Krajowa Komisja Porozumiewawcza niech tylko i wyłącznie korygują, a nie rządzą. Niech MKZ i KKP pytają się, jak jest na dole, jakie jest stanowisko w zakładzie. Niech nie decydują o was. Czas centralnych związków i ich władz naprawdę się skończył. Teraz sami powinniśmy coś włożyć do „Solidarności", żebyśmy mieli to, co my chcemy, żeby nie przyjechał ktoś z Gdańska, czy z Warszawy, albo ktoś przywieziony w teczce i narzucał nam, jak to my się mamy gospodarzyć, rządzić w zakładzie. Nikt, ani w Gdańsku, ani w Warszawie nie wie, co u was należy robić. Wejdźmy w fazę służenia — MKZ i KKP powinny służyć, a nie rządzić. Niech każdy wierzy w swoje siły. Bramy zostały otwarte, każdy ma możliwości, każdy może powiedzieć swoje zdanie.

— Jak mamy działać, gdy dyrekcja nie chce z nami rozmawiać?

— My mamy w Gdańsku Bogdana Lisa, który bardzo szybko wymienia tych, co przeszkadzają, a przypuszczam, że państwo też to potrafią. Tylko z odwagą, z tupetem. Jest czas na odnowę. Nie ma już tak, że dyrektor jest królem i władcą, on jest takim samym pracownikiem, jak my.

— Co zrobić ze starymi radami zakładowymi?

— Dlaczego się pytacie? Sami rozwiązujcie te problemy. Ale coś, co łączy całą załogę, musi być. Na razie jako MKZ mamy podstawowy cel: założyć związki zawodowe, przygotować porządne wybory, przygotować porządne programy.

— Nikomu nie uda się rozdzielić hutników, marynarzy, górników i innych pracowników od siebie...

— Oczywiście, nie może się udać. Wszyscy rozumieją, że nie można się odłączać. Bo jeśli jesteśmy razem, jeśli są wyższe uczelnie, nauczyciele, lekarze, robotnicy, górnicy, to tu jest siła. Oni nam pomogą teoretycznie, bo ja jestem robotnikiem po trzech klasach szkoły zawodowej, i, owszem, pięści to jakieś chude mam, ale w głowie to nie zawsze może być za dużo i za dobrze. Musimy więc wszyscy sobie pomagać; niech nauczyciele wychowają nam porządnie dzieci. I trzymajmy się w regionach, a nie w branżach.

— Określić, kto to są elementy antysocjalistyczne...

— Pamiętamy siedemdziesiąty rok i obecny, mówiono: warcholy, podpowiadacze, antysocjaliści. My też nimi byliśmy, ja mówię, że z tym socjalizmem to można żyć, ale z uczciwością, z prawdą. (Burzliwe oklaski).

— Kto nas ma uczyć demokracji?

— Kto? Nie Lesio, bo on jest za mały, za głupi. Sami. Wszyscy.

— Czy młodzież będzie miała przedstawicieli w NSZZ „Solidarność"?

— Nie będzie miała. Niech sami tworzą swoje organizacje. Ale niech młodzież pamięta, że studenci, że technicy powinni się tak uczyć, iż gdy będą dyrektorami i kierownikami, to my nie powinniśmy przez nich strajkować.

— Dlaczego na terenie Jastrzębia nie zlikwidowano sklepów komercyjnych?

— Termin tego postulatu jeszcze nie minął. Jak będzie mijał, to my się szybko wypowiemy. Ale pamiętajmy o głównym naszym celu — o zorganizowaniu niezależnego związku zawodowego. Inne rzeczy są na razie ubocznymi sprawami. Nieraz już nam podwyższano, dawano i potem cofano powoli, dlatego też obawiamy się, że nawet gdyby nam dano po 10 tysięcy złotych, to i tak po jakimś czasie to się nam zabierze w zakamuflowany sposób. Muszą być grupy, które będą kontrolować na bieżąco, ile zarabiamy i ile wydajemy.

— Czy taksówkarze mogą należeć do „Solidarności"? Co z rolnikami indywidualnymi?

— Z taksówkarzami i z rolnikami jest trochę kłopotu, ale wiemy, że bez rolnictwa to my węgla nie ugryziemy. Wiemy, że do tych ludzi — rolników, taksówkarzy i innych — należy wyciągnąć dłoń. Jeśli chodzi o rolników, zawsze występowaliśmy o to, że rolnik musi się czuć rolnikiem; czy ma na swojej schedzie złoto, czy ropę, to jest jego. On musi czuć, że to jego własność, ale musi mieć organizację, która go będzie broniła. Związki — to nie bardzo pasuje, bo on jest pracownikiem, dyrektorem i wszystkim. Ale przecież jasna sprawa, że rolnik też jest zależny od państwa i nie zawsze dostanie paszę, czy przydział węgla, a więc ktoś musi go bronić. I w tych sprawach naprawdę państwo muszą im pomóc. Będziemy za nich nawet strajkować, chociaż my nie chcemy strajkować. Zawsze rolnik z robotnikiem muszą iść w parze. (Oklaski).

— Co zrobić, jeśli komitet założycielski w zakładzie nie umie się zorganizować?

— Proszę państwa, kto tu siedzi? Sam kwiat, samo serce. Jak może nie umieć? To co, Lesio pozałatwia? Co on jest? Inna sprawa: myśmy nie przyjechali zakładać związków, bo byśmy byli uzurpatorzy. Nie założycie, wasza sprawa. Nie chcecie, wasza sprawa. Wreszcie zaczyna się demokracja. Wybierajcie, tylko się nie bójcie. Czas straszenia już minął. A po drugie, czy mamy inne wyjście? Nie mamy innego wyjścia. (Oklaski).

— Jak wygląda sprawa emerytów, rencistów i inwalidów?

— Nie mamy co do tego dokładnie sprecyzowanych zdań, ale hołdujemy takiej wersji, że każdy emeryt i rencista powinien być w związku w swoim zakładzie. Przecież on tam zdrowie i kawał życia zostawił. Każdy zakład powinien się nimi interesować. Oni powinni być potrzebni. Emeryci, renciści — jakie to są wielkie kapitały, jakie wielkie doświadczenie, jak wielkie roboty robią. I dlatego też trzeba z ich umiejętności korzystać i trzeba ich przygarnąć, przecież oni życie oddali dla nas. (Oklaski).

— Co jest z ziemniakami dla załóg? Co jest z węglem?

— Rzeczywiście jest bardzo źle, ale państwo dokładnie wiedzą, że jak to będą nasze zakłady, nasze gospodarstwa, my jeszcze wykrzesamy siły, jeszcze pokażemy, jak należy pracować. Tylko niech nam nie przeszkadzają.

— Czy pan wie, że już trzykrotnie zapraszano pana z Jastrzębia na Śląsk?

— Jeśli chodzi o wyjazdy, to nie ma kraju, w pobliżu i trochę dalej, który by nas nie zaprosił. Każdy chce tych fenomenów socjalistycznych zobaczyć. (Śmiechy, oklaski). Ale my nie idziemy na pokaz. My mamy robotę.

— Dlaczego wśród złodziei wymienia się tylko Szczepańskiego?

— Proszę państwa, gdy ja się sobie przyglądam, to widzę, że parę razy przeszedłem na skrzyżowaniu przez czerwone światło, parę razy jechałem na gapę. Złodziejstwo zależy od możliwości. Ten, co miał 100 milionów, to gdy wziął milion, nie było widać. Jak mieliśmy mniej, to mniej braliśmy. Taka jest prawda. Były takie warunki, były takie przepisy, więc trzeba było kombinować. Tak więc i te sprawy załatwią związki. My już odnajdujemy porzucone samochody i wille nie wiadomo czyje.

— Proszę powiedzieć, czy w innych regionach poczta przyłącza się do „Solidarności"?

— Poczta to jest jeden z najprężniejszych ośrodków, przecież jak było zatrzymywanie listów w Gdańsku, to oni mi po cichu przynosili pieniądze i listy, które przychodziły na nasz adres. A więc poczta jest u nas zorganizowana, może nie na każdym terenie, ale jest. Mało tego, sądy się zorganizowały i inne instytucje, i to takie, że to się nie mieści w głowie. Tego się nie da zatrzymać. Nie ma takiej siły. Można nas pokonać, ale nie zmusić do pracy. Ja chcę pracować, wszyscy chcemy, ale dla siebie, nie dla kogoś. (Burzliwe oklaski).

— Czy są zamówienia ogólnokrajowej mszy świętej w niedzielę za „Solidarność"?

— Za „Solidarność" odprawiają się msze. Ja jestem bardzo wierzący, ale w związkach zawodowych ołtarzy jednak nie powinno być i mszy nie powinniśmy odprawiać. Mamy kościoły obok, jeśli ich jest za mało, powinniśmy, je zbudować, ale w związkach są ludzie i partyjni, i bezpartyjni, i z innych wiar. Zgadzamy się przede wszystkim co do sprawiedliwości, uczciwości i prawdy. I to nam wystarcza. Załatwiajmy sprawy tak, byśmy wiedzieli, za co pracujemy, dla kogo pracujemy, co się dzieje z naszymi pieniędzmi i produktami, po co stoimy w kolejkach, po co coś produkujemy. O to nam chodzi, żebyśmy mogli powiedzieć, co myślimy, żebyśmy byli sobą, żeby nikt nam nie odbierał naszej osobowości, tego, co mamy w sercach.

— Od kiedy będzie regulacja zasiłków rodzinnych?

— Jest termin w naszych żądaniach, a później to my sprawdzimy.

— Niech pan wie i przekaże ludziom Wybrzeża, że bije nas jeden bat.

— Ha, ja widzę bat i bacisko. (Śmiechy, oklaski).

— Niech pan wyjaśni niektórym grupom ludzi, aby zaprzestali trochę z tymi postulatami.

— Tak, proszę państwa. Jeśli będziemy przeciągać sprawę, upierać się, to rzeczywiście pójdzie postulomania. Wiemy z lat 1956—1970—1976, że taka jest nasza mentalność: jak jest sytuacja dobra, to wykorzystać, jak najwięcej załatwić. Ale nie tu sedno sprawy. Nawet kosztem niezałatwienia czegoś dziś, trzeba organizować grupy kontrolujące i to porządnie organizować. A postulatów też bym proponował nie tworzyć za dużo, bo możemy rząd zmusić, że naprodukuje każdemu po dwa, po pięć tysięcy i co z tego? Towarów nie wystarczy, to będzie papier toaletowy, a nie pieniądze.

— Jak długo zajmuje się pan polityką?

— Co ze mnie za polityk? Faktem jest, że od 1968 zacząłem trochę wchodzić w sprawy wolnych związków, że w 1970 roku kierowałem strajkiem w Stoczni Gdańskiej. Faktem jest, że kierowałem nieudolnie, za co się bardzo wstydzę, ale przez te dziesięć lat to ja sobie przemyślałem, przeanalizowałem każdy detal. Faktem jest, że krew z 1970 zobowiązała mnie do tego. Do dziś Gwiazda, Alinka Pieńkowska, pani Walentynowicz, ja — jesteśmy z wolnych związków zawodowych z 1968. Ale szliśmy do przodu i będziemy szli. (Oklaski).

— Czy przywódcą strajku na Wybrzeżu był pan z rozsądku, czy też były inne przyczyny?

— Faktycznie, niektórzy mówili: „Człowieku, masz tyle dzieci, po co ci to, co to da, głową muru nie przebijesz, wiatry chcesz zmienić?" A jednak dało. Ale to nie ja, to państwo wszystko zrobiliście. Lecz żeby dało rezultaty do końca, wszyscy musimy pracować dalej.

— Co pan sądzi o przesunięciach w rządzie?

— Proszę państwa, nie moja rzecz, kto tam spada, a kto się winduje. Ma załatwiać sprawy. My jesteśmy tylko związkami.

— Jak usunąć skompromitowanych działaczy partyjnych?

— Proszę państwa, my ich nie usuwajmy, to nie nasza rzecz. My nie mamy prawa, nie jesteśmy partią polityczną, nie chcemy politykować. My chcemy chleba, pieniędzy, tych, co się nam należą, nie chcemy stać w kolejkach... Mamy informację, że już powinniśmy jechać gdzie indziej. Przepraszam, trochę pytań zostało bez odpowiedzi, ale jeśli są problemy, które nie zostały wyjaśnione, trzeba odpowiedzieć w gazetkach. I pamiętajmy, że każdy musi się wziąć za robotę organizacyjną. Nie dać się, bo jak się damy, to długo się nie podniesiemy. Naprawdę nie możemy się poddać, bo ci, co przyjdą po nas, powiedzą: byli tak blisko i spaprali. Historia nas wtedy nie rozgrzeszy.

Opracował: B. K.

POCZTA literacka

Grzegorz G. Lublin. Na razie znajduje się Pan na etapie literackiego przetwarzania przeróżnych motywów: „Kazanie na górze", „Happy — end", „Janis Jeplin". Zgodzi się Pan chyba, iż jest to odrabianie literackich lekcji na zadany temat? Inne zaś utwory zrodziły się z przeżyć powierzchownych, motywy rozpadające się na luźne impresyjki nie uzasadniają potrzeby poetyckiej nobilitacji. W liczącym osiemnaście wersów „Pocałunku" kroczy Pan po opustoszałej plaży, aby w końcu ucałować słony piasek. Po co? Miejsce czyjejś stopy? Pokłon naturze?

Zbigniew L. Warszawa. Przytoczę zwrotkę z „Progów", nie tylko ku Pana przestrodze:

Kuszą flety i bęben kryje ciszę
Z trąby luźno kapie niczyja melodia
Wiatr i zapach nowego zaczepiają karty
Pełne niezapisanych trawestacji istnienia
Na kolanach świadomości.

Otóż, z niezapisanych trawestacji istnienia wynika jeden oczywisty wniosek: nie tędy droga. Proponuję prosty zabieg — proszę na chwilę wyobrazić sobie, że ten wiersz napisał ktoś inny. Czy wówczas wystarczy Panu cierpliwości, aby przeczytać go do końca?

Jan Henryk C. Krasnystaw. Podejmijmy trud analizy pierwszego członu wiersza „Modlitwa". Jest tam: „przestrzeń czasu", „kolorowy motyl", „ziarnista powieka", „niewiasta owocowa", „rój motyli". Żadna z tych przenośni nie dźwiga przeżycia estetycznego, nie budzi żadnych skojarzeń — pochodzą bowiem albo z obiegowych zwrotów („rój motyli") albo też z całkowicie niespójnych nawet metaforycznie zestawień, np. „niewiasta owocowa". Czy więc zestawione razem mogą jakimś cudem sprawić, że staną się wierszem?

Andrzej K. Jastrzębie. „Rojenia" zaczynają się tak: „Gdzieś na kresomózgowiu". Możliwe, że „kresomózgowie" jest neologizmem, lecz ani następny wers, ani kontekst całego wiersza nie mają z nim związku, co czyni uzasadnioną obawę, że głównym celem autora jest popisanie się neologizmem. A przecież słowo służy treści, a nie odwrotnie.

Józef B. Bydgoszcz. „Gdzie diabeł nic nie wskóra (przez wódkę) tam pośle nie babę, a młódkę". A czemu nie np. rozwódkę? Jest rym? Ano jest.

Janusz M. Moździerz. W wierszach za dużo patosu, wpada on w piaczliwość i pozbawia przeżycie autentyzmu. No właśnie: jakże potrafi, Czesław Miłosz, podniosłym zdarzeniom i uczuciom, nadawać prostą, nie wymuszoną formę!

Elżbieta D. Puławy, Eligiusz R. Świebodzin, Stefan A. Bratkowice, Adam P. Lublin, Jacenty D. Lublin, Andrzej Ż. Kraśnik, Zbigniew H. Gorzów, J. M. L. Radom, Kazimierz S. Otwock, Kazimierz W. Katowice, Mieczysław K. Lublin, Halina D. Lublin, Kazimierz Ch. Bydgoszcz — nie skorzystamy.

H.P.

EKRAN i WIDZ

Wokół „Constansu"

Film Krzysztofa Zanussiego „Constans", jak wszystkie dzieła tego reżysera, wzbudza liczne dyskusje, ma swoich entuzjastów oraz zdeklarowanych przeciwników. Jest także duża liczba widzów, którzy nie potrafią opowiedzieć się wyraźnie „za" czy „przeciw", i — jak mi się wydaje — ci ostatni rekrutują się po większej części spośród zwolenników dotychczasowej twórczości Zanussiego. Ale bo też dyskusja wokół „Constansu" (nie chodzi mi tylko o dyskusje toczone przez krytyków i recenzentów na łamach czasopism, lecz także o te spontaniczne, „codzienne", „prywatne", po wyjściu z kina, w domach, w kręgu przyjaciół i znajomych) podzieliły również wyznawców reżysera na szereg grup, a i jego zdeklarowani przeciwnicy tu i ówdzie zachwiali się w swych sądach... Dzieje się tak chyba przede wszystkim dlatego, że Zanussi zaskoczył nas podejściem do tematu, a również, jeżeli chodzi o sam warsztat reżyserski, zastosował niezwykłą prostotę, trącącą dla niektórych aż „uproszczeniem", naiwnością, czym „sprzeniewierzył się" jakoby swej dotychczasowej metodzie tworzenia, opartej na „chłodnej, matematycznie wyliczonej kalkulacji".

A może „Constans" jest właśnie kolejnym etapem, logiczną konsekwencją dotychczasowej drogi reżysera, jego następnym krokiem w artystycznej i ludzkiej dojrzałości?

Otóż to. Słusznie zauważa Maciej Zalewski w 8 numerze „Kina", w artykule „Poszukiwanie tożsamości": *„Constans" jest najpełniejszym i równocześnie najbardziej dyskusyjnym filmem Zanussiego. Najłatwiej go skrytykować, najtrudniej przemilczeć. Być może, to stanowi o jego sukcesie.* Najłatwiej skrytykować na przykład sam wątek fabularny: „naiwność" prościutkiej opowieści o losach młodego człowieka, absolwenta technikum, entuzjasty taternictwa, który staje jakby na marginesie współczesnego społeczeństwa, jego dążeń i ambicji, i tak oto „wyobcowawszy się", zaczyna toczyć samotną walkę o własną uczciwość i własne moralne zasady. *Zastanawiając się nad swoistą ułomnością tego człowieka* — stwierdza Zbigniew Kłaczyński w dyskusji opublikowanej w ostatnim, październikowym numerze „Filmu" — *bo zapewne jest to, patrząc ze społecznego punktu widzenia, jakiś defekt — doszedłem do wniosku, że podobny sposób postępowania znajduje uzasadnienie tylko wtedy, gdy wyjdziemy poza laicki punkt widzenia. Postawa bohatera daje się objaśnić wyłącznie dążeniem do samodoskonalenia z perspektywą wartości transcendentnych, rozwiązań metafizycznych. [...] Dla mnie osobiście cenniejsza jest postawa walki o przemiany społeczeństwa, w którym się żyje, nawet jeśli miałoby się przegrać.(!)* To zdanie bardzo charakterystyczne dla przeciwników „Constansu". I także dla tych, którzy niewiele zrozumieli z istoty filmu Zanussiego. Za tym mogą już postępować tylko zarzuty — i tak się w bardzo licznych przypadkach dzieje — że: taka postawa jest nieprawdopodobna w dzisiejszym społeczeństwie że: brak tutaj jakiejś bardziej wyraźnej „logiki" w postępowaniu bohatera, że: takich młodych ludzi, o takich poglądach jak Witek tylko ze świecą szukać, że: bohater, który został przez reżysera wtopiony w realną rzeczywistość, jest jakby postacią nierealną i tak by nigdy nie postąpił na przykład reprezentanci „kina moralnego niepokoju", którzy tworzą sylwetki krwiste i mocno osadzone w realiach, że: jeżeli miałaby to być metafora, niech to będzie metafora bardziej dosadna, taka — „bergmanowska"... Wszyscy domagają się logiki, logiki i jeszcze raz logiki, racjonalnych umotywowań, niezbitych dowodów i nieodparcie nasuwających się wniosków. Pomnożonych jeszcze o stosowanie konwencji filmowych i języka filmowego wypracowanego przez uznanych leaderów światowego kina. Chcą mieć wyłożone wszystko jak na talerzu, w sposób jak najbardziej racjonalny, przekonywający i usankcjonowany.

Kiedy przypatruje się tej dyskusji, nawiązuje w pamięci słowa Bolesława Michałka, który mówi, że odkrywanie prawdy zawartej we współczesnym dziele filmowym (oczywiście dziele ambitnym, twórczym) jest podobne do przechodzenia na przeciwległy brzeg rzeki nie przez most, lecz przez bród; gdy znając cel, trzeba przeprawiać się jakby po omacku, szukając niepewnie na pokrytym bucującą wodą dnie skał, kamieni i twardszych połaci gruntu, na których można oprzeć nogę.

Tak i w „Constansie": nieważne, czy jest to film doskonały reżysersko w każdym calu, czy zawsze opowieść toczy się dostatecznie wartkim nurtem, i czy wszystko jest tam oparte na żelaznej logice, czy historia Witka jest prawdopodobna bardziej czy też mniej, „Constans" trzeba odbierać w sposób „podskórny", trochę pozaintelektualny: Zanussi woła wielkim głosem: *Ludzie bądźcie uczciwi, bądźcie dobrzy, pamiętajcie, że istnieją czyny moralne i niemoralne, i że od was samych w największej mierze zależy jakimi będziecie!* Gdzież tu „metafizyka", gdzie tu jedynie „samodoskonalenie z perspektywą wartości transcendentnych"?

Zanussi wpisuje swoje gorące, płynące z serca wołanie w realistyczną dekorację filmową. To może niektórych mylić. Najnowsze filmy Zanussiego trzeba jednak czytać sercem, a nie tylko chłodnym rozumem.

M.D.

OKOLICE SZTUKI

Demokracja sprzyjała

POLSKA demokracja od początku sprzyjała plastykom. Mimo trudności z uzyskaniem materiałów realizowali oni jakoś liczne zlecenia na plakaty propagandowe, dekoracje teatralne, odznaki, malowane hasła. Z pierwszej wystawy środowiska (październik 1944) Resort Kultury i Sztuki PKWN zakupił prace o łącznej wartości 73 600 złotych, poświadczając tym samym, że oficjalnie głoszona idea mecenatu państwa nad sztuką przyobleka się w kształt realny. Spośród pozostałych ministerstw najwięcej dzieł nabył Resort Obrony Narodowej, m. in. 10 rysunków Jerzego Zaruby za 10 tys. złotych, co można uznać za zapowiedź szerokiego mecenatu wojska nad sztuką, rozwiniętego w późniejszych latach. Najmniej, bo tylko jeden obraz Heleny Krajewskiej, zechciał kupić za 1500 złotych Resort Informacji i Propagandy. Na liście nabywców znalazły się ponadto resorty: Administracji Publicznej, Rolnictwa i Reform Rolnych, Sprawiedliwości oraz Spraw Zagranicznych. Największym powodzeniem cieszyły się obrazy Aleksandra Rafałowskiego (który wystawił m. in. „Portret Berlinga"), Władysława Filipiaka, Juliusza Krajewskiego i Stanisława Teisseyre'a.

Ceny płócien wahały się w granicach od 1500 do 7000 złotych, a więc przekraczały czasami podstawowe pensje ówczesnych ministrów, np. w kulturze sięgające 5400 złotych i wypłacane bardzo nieregularnie, na ogół w postaci zaliczek. Jan Karol Wende jako zastępca kierownika Resortu Kultury i Sztuki pobierał miesięcznie 4200 złotych, a szefowie poszczególnych wydziałów tego ministerstwa — po 2620. Naczelnik wojewódzkiego wydziału kultury i sztuki w Lublinie, Edward Wrocki, łącznie z dodatkiem wojennym i funkcyjnym otrzymywał 1360, a jego referenci — 650 złotych. Powtórzmy jednak: pensje wypłacano nieregularnie.

Nie koniec na tym: dla artystów napływających do Lublina z innych miejscowości resort kultury urządził w Łańcuchowie dom pracy twórczej. Był to obiekt okazały, swoją kubaturą i urodą znacznie przewyższający siedzibę literatów w pobliskich Ciechankach. Wzniesiony w 1904 roku według projektu Stanisława Witkiewicza, przez wiele miesięcy roku wyzwolenia gościł bezdomnych artystów, m. in. Józefę Wnukową, Stanisława Teisseyre'a, Jerzego Wolffa.

Na wyposażenie kredensu Łańcuchowa i inne potrzeby gospodarcze domu resort wyasygnował początkowo 30 800 złotych, które wydano na zakup: sześciu łyżeczek do herbaty, sześciu szklanek (po 30 zł sztuka), sześciu mis i talerzy, jednej patelni (300 zł), noża kuchennego (200 zł) piętnastu widelców, zeszytu do rachunków (35 zł), dziesięciu kieliszków, sześciu filiżanek ze spodkami (480 zł) papieru, 50 kg gwoździ, „produktów ze Społem" (1309 zł) i wielu innych towarów. W grudniu plastycy otrzymali kolejną subwencję: 45 tys. złotych na przygotowanie pracowni w Łańcuchowie.

Demokracja troszczyła się o artystów. Na pierwszym w legalnych warunkach posiedzeniu Komisji Kultury, Nauki i Wychowania KRN (10 października) rozważano przede wszystkim kwestię pomocy materialnej dla ludzi sztuki. W zabytkowych domach na terenach parcelowanych — postulowano — należy otwierać domy wypoczynkowe dla twórców, przyznając im także z kiesy rządowej zapomogi pieniężne i naturalia. Warto przy tym wiedzieć, że Komisja reprezentowała różne siły społeczne, w jej składzie znajdowali się: dwaj ministrowie, jeden generał, ksiądz pułkownik, kurator szkolny, lekarze, pisarze i dziennikarz.

Warto też zanotować sobie w pamięci, że w ówczesnym rządzie zasiadali przedstawiciele różnych partii i bezpartyjni, a szefem Resortu Kultury i Sztuki był wybitny działacz demokratyczny, Wincenty Rzymowski, swego czasu gorący zwolennik Piłsudskiego.

I J K

KRONIKA

● W ostatnich dwóch tygodniach na Lubelszczyźnie niemal codziennie powstawały środowiskowe lub międzyzakładowe organizacje niezależnych związków zawodowych. We wszystkich naszych uczelniach istnieją już niezależne zrzeszenia studentów.

● Do tragicznego wypadku doszło w szybie nr 4 kopalni w Nadrybiu, gdzie 22 października br. podczas zjazdu kubłem transportowym zginęli dwaj górnicy: Marian Janda i Ernest Jegor. Był to pierwszy śmiertelny wypadek w historii budowy LZW.

● W obu kategoriach wiekowych (uczniów młodszych i starszych) IV Ogólnopolskiego Festiwalu Młodych Skrzypków w Lublinie nie przyznano pierwszych nagród, co chyba świadczy o niezbyt wysokim poziomie imprezy, w której brało udział 58 wykonawców. Wśród nagrodzonych zabrakło lublinian.

● W październiku w Lublinie odbył się XII Międzynarodowy Festiwal Filmów Rolniczych krajów RWPG. Pożyteczną dla fachowców prezentację filmowego instruktażu rolniczego zaopatrzono w „Gazetę Festiwalową" — czy na nie za dobrym jednak papierze wydrukowaną? Wspominamy o tym również dlatego, ponieważ na takim papierze nie powinny pojawiać się pomyłki. Otóż autorem zdjęcia zamieszczonego u dołu strony 2 jest Waldemar Stępień, a nie osoba, której nazwisko figuruje w podpisie pod fotografią.

● W cyklu spotkań pt. „Lublin, jakiego pragniemy" — organizuje je redakcja „Sztandaru Ludu" — wystąpił w październiku Ignacy Gogolewski, dyrektor Teatru im. Juliusza Osterwy, który poinformował publiczność, ze respektując różne upodobania obywateli, pragnie im w pierwszym rzędzie przedstawić wielką klasykę polską: „Dziady", „Kordiana", „Nie-boską komedię"... Przy okazji informujemy, że zapowiedziany w „Cydzie" aktor Teleszyński nie mógł przybyć z Warszawy do Lublina; zmusiło to I. Gogolewskiego do przejęcia roli — bez charakteryzacji, z tekstem w dłoni, co spotkało się z pełną aprobatą widowni. My także wolimy I. Gogolewskiego.

● Tegoroczne plony buraków na Lubelszczyźnie są niższe o ok. 10 proc. od ubiegłorocznych. Niższa jest także zawartość cukru w roślinach, a warunki kampanii — wyjątkowo trudne.

● Z okazji wieloletniej pracy naukowej i dydaktycznej w UMCS oraz działalności w Lubelskim Towarzystwie Naukowym prof. Marii Grzędzielskiej urządzono przy końcu października ogólnopolską sesję naukową „Z zagadnień literatury polskiej i obcej".

● 27 i 28 października odbywała się w Lublinie ogólnopolska konferencja naukowa pn. „System ochrony zabytków w Polsce", która w sali NOT zgromadziła wcale liczne grono specjalistów z wielu ośrodków kraju. Z reguły podnoszono problemy dobrze już znane, lecz do dziś nie rozwiązane. Podczas dyskusji doszło do ostrych kontrowersji. (O szczegółach poinformujemy w następnym numerze pisma).

● W województwie lubelskim trwa przegląd zasobów mieszkaniowych, obejmujący budownictwo różnego rodzaju. Zakwestionowano ponad 200 przydziałów, stwierdzono m. in., że 70 posiadaczy mieszkań spółdzielczych wykorzystuje lokale niezgodnie z przeznaczeniem. Lustracja trwa.

● Od 9 października czynna była w zamojskim BWA indywidualna wystawa malarstwa i rysunku Jana Popka, wzbudzając znaczne zainteresowanie publiczności.

● Natomiast w lubelskim „Labiryncie" wystąpił Krzysztof Zarębski, artysta uprawiający „sztukę ciała", który zaprezentował performance „Temperatura znaku". Godna to uwagi aktywność.

● Muzeum J. Czechowicza urządziło wieczór poświęcony postaci i twórczości Czesława Miłosza. O poecie i jego dziele mówiła prof. Irena Sławińska, wiersze laureata Nagrody Nobla recytowali aktorzy Teatru im. J. Osterwy.

TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY (8)

Proroctwa

Aleksander Mora

PRZEWIDZIAŁ wojnę domową w Anglii, wielki pożar Londynu, wielką rewolucję francuską i rewolucję październikową w Rosji. Przepowiedział dwie wojny światowe naszego stulecia i wymienił ludzi, którzy wpłynęli na bieg historii naszego kontynentu, z Napoleonem, Hitlerem i Mussolinim włącznie. Opisał podróże lotnicze i statki poruszające się w powietrzu i przestrzeni międzyplanetarnej, chociaż urodził się czterysta lat wcześniej, zanim... został zbudowany pierwszy samolot.

Człowiekiem tym był Michael Nostradamus, francuski lekarz i farmaceuta, który zasłynął jako pierwszy człowiek umiejący leczyć ludzi w czasie zarazy. Był z pochodzenia Żydem, przybrał nazwisko de Notre Dame od miejsca swego chrztu. Jego ojciec i dziadek byli lekarzami nadwornymi, pierwszy króla Prowansji — Rene, drugi — księcia Kalabrii. Przyszły prorok urodził się w San Remy, w południowej Francji, w 1503 roku. Uzyskawszy stopień doktora medycyny w Montpellier, podróżował po Francji i Włoszech, zdobywając praktykę.

Historia nie podaje dokładnie, kiedy rozpoczęła się jego sława jako proroka, ale już w roku 1540 ludzie zaczęli mówić o wspaniałym darze Nostradamusa i umiejętności patrzenia w przyszłość. Jedna z najsławniejszych legend powiada, że gdy Nostradamus szedł kiedyś wiejską drogą, napotkał młodego mnicha. Natychmiast padł przed nim na kolana i pozdrowił go, zwracają się doń i tytułując „Jego Świątobliwość". Wiele lat później, w roku 1585, a więc długo po śmierci proroka, która miała miejsce w roku 1566, ten sam mnich, Felice Peretti, został wybrany papieżem Sekstusem V.

Nostradamus był najsłynniejszym prorokiem wszystkich czasów, który, zdaniem swoich wielbicieli, „widział poprzez czas". Liczni badacze, starsi i współcześni, komentowali i porządkowali jego zawiłe przepowiednie, obejmujące dzieje państw i władców w perspektywie wielu wieków, aż po rok 2000 i dalej. W ostatnim ćwierćwieczu ukazało się kilka książek o Nostradamusie. Jego przepowiednie były tłumaczone na wiele języków.

Pisanym świadectwem wizji Nostradamusa na temat przyszłości jest jego księga proroctw. Zamierzał on opowiedzieć historię świata, poczynając od czasów mu współczesnych aż do dnia Sądu Ostatecznego. Każda z dwunastu części tej księgi nazwana jest centurią (century — wiek) i została zbudowana ze 100 czterowierszowych zwrotek, zwanych „Quatrains".

Pierwsza część proroctw została opublikowana w roku 1555 i wówczas nagle Nostradamus stał się modny, zaś dwór francuski Katarzyny Medycejskiej i Henryka II ubiegać się począł o jego towarzystwo. Od tego czasu popularność proroka w gruncie rzeczy nigdy nie zmalała.

Do głównych dzieł Nostradamusa zalicza się, oprócz wymienionych centurii, „Presages", almanach złożony ze 141 czterowierszy na każdy miesiąc pomiędzy 1536 a 1568 rokiem, oraz list do Henryka II o treści proroczej, pisany prozą. Aczkolwiek interpretatorzy wykorzystują czasem „Presages" i list do Henryka II, sława proroka opiera się głównie na centuriach, które napisane są w formie poezji o dziwnym, niejasnym stylu. Słownictwo stanowi mieszaninę języka francuskiego, prowansalskiego (jakim wówczas posługiwano się na południu Francji), włoskiego, greckiego i łacińskiego. Kolejność biegu wydarzeń jest pogmatwana, a zwrotki odnoszące się do jednego wieku mogą sąsiadować ze zwrotkami mówiącymi o zupełnie innym okresie czasu. Nostradamus twierdził, że umyślnie czynił przepowiednie trudnymi do zrozumienia.

Kraje i ludzie w tych proroctwach są zwykle nie nazwani, zaś rozmaici komentatorzy na przestrzeni dziejów interpretowali te same czterowiersze na różne sposoby. Rozpatrując na przykład czterowiersz osiemdziesiąty szósty w centurii pierwszej, trudno zrozumieć, kim jest „wielka królowa", która „ucieka od miecza na końskim grzbiecie". Niektórzy komentatorzy uważają, że dotyczy to Marii Antoniny uciekającej z więzienia podczas rewolucji francuskiej. Ale opis równie dobrze odnosić się może do Marii Stuart, królowej Szkotów, która była ważną postacią w historii Anglii i która umknęła z Anglii do Szkocji w roku 1568.

Czasami jednak strofy te bardzo jasno dotyczą określonych zdarzeń i osób. Nostradamus mówi, że „Pasteur" (tak!) będzie wielce szanowany po odkryciu „zagubionej rzeczy". Z pewnością dotyczy to Ludwika Pasteura, wielkiego francuskiego uczonego XIX wieku, który odkrył istnienie szkodliwych dla zdrowia bakterii i w ten sposób umożliwił znalezienie środków leczenia wielu chorób.

W innym czterowierszu prorok mówi, że pewnego dnia ludzie będą „bezpiecznie podróżować po niebie". W jeszcze innym podaje, że „wielka zaraza" panować będzie w „portowym mieście" — czy dotyczy to epidemii cholery, jaka miała miejsce w Londynie w roku 1665?

Dosłowny przekład kilku strof może dać czytelnikowi pewne pojęcie o tym, jak wygląda tekst centurii. Pierwsza zaczyna się od słów:

Gdy zajęty w noc studiowaniem tego, co tajemne,
Siedzę samotny na trójnogu spiżowym
Mały płomień zapalający się w samotności,
Pozwala mi przepowiadać to, w co można wierzyć.

I oto zaczynają się przepowiednie:

Gdy wir powietrza porwie śmieci,
A twarze ich będą zakryte płaszczami,
Republika dręczona przez ludzi nowych,
Wówczas między białymi a czerwonymi zapanuje niezgoda.

Jedna z ksiąg proroctw Nostradamusa, opublikowana w roku 1558, dedykowana była królowi Henrykowi II. We wstępie do tej księgi prorok uprzedza o mającym nastąpić prześladowaniu Kościoła i przepowiada ustalenie nowego porządku:

Nastąpi to w roku 1792, w którym to czasie,
każdy uważać będzie ten okres za odrodzenie wieku.

Rewolucja francuska narodziła się z antyklerykalizmu i w roku 1792 powstała Republika Francuska. Wydaje się, że Nostradamus musiał przełamać barierę czasu, aby móc przewidzieć to historyczne zdarzenie tak dokładnie.

Nostradamus, niczym Einstein, pisze, że „Nieskończoność wiąże w jedno — przeszłość, czas teraźniejszy i przyszłość".

Przyznaje on, że przestudiował starannie wiele ksiąg na temat magii. Te starożytne księgi, traktujące o dawno zapomnianej, zaginionej wiedzy i mądrości, przesłoniętej welonem szyfrów i symboli, musiały pomóc Nostradamusowi w poznaniu tajemnicy przenikania czasu.

Władca się narodzi w pobliżu Italii,
który drogo kosztować będzie cesarstwo.

Cesarz Napoleon I urodził się w pobliżu Italii — na Korsyce — i rzeczywiście kosztował Francję bardzo drogo — bo ponad pół miliona ludzi w samym tylko marszu na Moskwę.

Inny przykład:

Panu Fossano wódz światła,
I psiarni, poderżnie gardło;
Czyn uknuty przez tych z Tarpejskiej Skały,
Saturn w konstelacji Lwa, trzynasty luty.

Rzecz osobliwa, że 13 lutego 1820 roku książe Berry, który nosił tytuł Lorda Fossano, został zasztyletowany przez niejakiego Louvela, nadzorcę królewskiej psiarni.

Nostradamus staje się jeszcze bardziej niepokojący, kiedy zaczyna mówić o czasach nam bliskich. Przepowiedział on Hitlera, którego nazywał Histerem ze względu na miejsce urodzenia Fuhrera, znajdujące się nad Dunajem, którego łacińska nazwa brzmi Ister. Opisuje Nostradamus swastyki, jako „krzyże odwrócone do góry nogami", które toczyć się będą na wschód i spustoszą Rosję. Człowiek zwany Histerem jest opisany jako „dziecię Germanii, które nie przestrzega prawa", zaś „większa część pola walki" zwróci się przeciwko niemu...

Doktor Nostradamus widział także w swoim magicznym zwierciadle wybuch bomby atomowej zrzuconej na Hiroshimę. Opisał to zdarzenie jako „straszliwy ogień", który nawiedzi „krainę wschodzącego słońca", czyli Japonię.

Proroctwa mówią też, że trzej bracia będą mieli wpływ na losy Ameryki... i wszyscy trzej zostaną zamordowani. Dwaj bracia Kennedy, John i Robert — już zostali zamordowani w Ameryce, zaś trzeci brat, Edward, jest ciągle politycznie aktywny. Czy on także zostanie zamordowany?

A co Nostradamus ma do powiedzenia na temat najbliższej nam przyszłości? Nasz wiek, jak twierdzi, będzie miał trzy wojny światowe. Długa „wojna w powietrzu" jest przewidziana na krótko przed rokiem 2000; zaś Ameryka i Rosja zjednoczą się w walce przeciwko Azji!

Czy przepowiednie Nostradamusa możemy poważnie brać pod uwagę? Wielu ludzi tak czyni przez ponad czterysta lat. Są ludzie, którzy studiują te proroctwa nawet dzisiaj, znajdując nowe interpretacje i wskazując w wielu punktach na ich prawidłowość. Czy Nostradamus był człowiekiem obdarzonym cudownymi zdolnościami? A może był szaleńcem lub szarlatanem?

c.d.n.

Koncert Mistrza

Istvan Grabowski

JUBILEUSZOWE wydanie Prezentacji, od piętnastu lat organizowanych przez Lubelską Estradę, zainaugurował 10 października br. występ brytyjskiego muzyka JOHNA MAYALLA. Koncert poprzedziła legenda, której trudno odmówić sensacyjnych elementów. John Mayall to nikt inny, tylko król białego bluesa, muzyk, który w początkach lat sześćdziesiątych przecierał w kraju Albionu szlaki temu ogromnie dziś popularnemu gatunkowi. O światowej sławie Mayalla mówią najlepiej jego dokonania. W trzydziestoletniej karierze artystycznej zdążył nagrać 33 longplaye (nie licząc składanek) i wychować w swym zespole Blues Breakers istną plejadę znakomitych instrumentalistów, zasilających później tak głośne kompanie jak Cream, Fleetwood Mac, Colloseum, Free, Rolling Stones, Keef Hartley Band Family, Stone the Crow i Juicy Lucy. Trwająca po dziś dzień era białego bluesa zawdzięcza swój początek właśnie Mayallowi.

Był on zawsze niespokojnym duchem. Nie ograniczał się tylko do dwunastu taktów bluesa. Nieodłącznym elementem jego działalności były wciąż eksperymenty muzyczne. Dokonywał więc najrozmaitszych fuzji bluesa z jazzem i rockiem, a nawet nie omieszkał bawić się funky ocierającym się o dyskotekę. Z charakterem proponowanej muzyki związany był różny skład towarzyszącego Mayallowi zespołu. Modyfikował go wielokrotnie. Raz ograniczał się do pracy sekcji rytmicznej, to znowu poszerzał skład o dęciaki i chórki wokalne, rezygnował z udziału perkusji ,bazując na brzmieniu skrzypiec, basu i harmonijki ustnej, stawiał na akustykę, by w kilka lat później zadudnić estradę grupą zdecydowanie elektrycznych muzyków.

Rekomendacja upowszechniana przez kolegów dziennikarzy spowodowała, że do hali WOSiR — miejsca największych widowisk estradowych w naszym mieście, mającego zresztą fatalną akustykę — przybyły tłumy pałające pragnieniem ujrzenia i usłyszenia gwiazdora. Z winy organizatorów imprezy zdecydowanie za późno otwarto wejście do hali, w wyniku czego blisko trzytysięczna gromada ludzka szturmowała w strugach deszczu wąziutką furtkę do krainy muzyki. Nie sposób opisać tego, co działo się pod drzwiami hali WOSiR. Gwizdom, krzykom i pomstowaniom napierających wtórowały jęki i wzywania o pomoc przyciskanych do metalowych barierek ludzi. Przyglądającemu się z boku obserwatorowi przychodził na myśl opisywany w prasie dziki żywioł tratujących się wzajemnie fanów podczas tegorocznych koncertów grupy WHO w Stanach Zjednoczonych. Tam w rozgardiaszu uduszono kilkanaście osób i zraniono kilkadziesiąt. Na szczęście w Lublinie obyło się bez śmiertelnych ofiar; liczby połamanych żeber nie jestem pewien. Po wielkich emocjach koncert 47-letniej gwiazdy rozpoczął się z ponad półgodzinnym opóźnieniem. Mistrz pojawił się na estradzie z nagim torsem gladiatora, burzą włosów i nieodłączną malutką gitarą firmy Les Paul Gibson. Towarzyszył mu czteroosobowy, dość mierny zespół, złożony z amerykańskich instrumentalistów. Już pierwsze takty piosenki z albumu „No more interviews" („Żadnych więcej wywiadów") anonsowały licznie zgromadzonej publiczności, jak srodze zawiedli się ci wszyscy, którzy chcieli odnaleźć w Mayallu koryfeusza „muzyki smutku" sprzed 15 lat. Ostra muzyka rockowa grana na tzw. „full' dosłownie zmiatała ogłuszoną decybelami publiczność. Potężne baterie głośników ustawionych po obu stronach sceny i kiepska akustyka hali robiły swoje. Straszliwy łomot gitar mieszał się z matowym głosem lidera, tworząc zabójczą dla ucha plątaninę dźwięków. O czytelności przekazywanych treści nie mogło być mowy.

Mayall zdecydowanie miał swój dzień. Niczym nastolatek rzucał się w rytm wykonywanych utworów i potrząsał bujną czupryną, grał na gitarach, harmonijce i instrumentach klawiszowych, a także śpiewał i ściskał wyciągające się ku niemu dłonie skłębionych przed sceną młodzieńców o mocno podejrzanej czystości i trzeźwości. Mało kto jednak w tym piekielnym hałasie zwracał uwagę na wygląd zwolenników gwiazdora. Liczyła się przecież muzyka. W tym momencie nasuwają się niezbyt optymistyczne spostrzeżenia. Król białego bluesa w trakcie półtoragodzinnego recitalu wykonał zaledwie dwie kompozycje bluesowe... Resztę programu stanowiły utwory rockowe, momentami korespondujące z formą funky. Powody do radości mieli rozhasani zwolennicy rockowych rytmów, ale nie wszyscy wyszli z tego koncertu zadowoleni. Widziałem mocno zdegustowane miny sympatyków dawnych nagrań Mayalla, którzy oczekiwali od Mistrza pełnych powagi i piękna bluesów z płyt „Blues alone", „Diary of band", „USA Union", czy „Back to the roots".

Wielu wybitnych instrumentalistów do końca swych muzycznych dni pozostaje wiernymi swym ideałom. Niektórzy jednak (być może w obawie przed zapomnieniem) przechodzą z czasem na inne znacznie łatwiejsze pozycje. Mayall wielokrotnie zmieniał się w swej karierze. Zrobił to i teraz. Aktualne zainteresowania prekursora białego bluesa różnią się w sposób zasadniczy od tych sprzed 15 lat. Po burzliwym okresie eksperymentów formalnych i brzmieniowych przeniósł swe fascynacje w zupełnie inne obszary muzyki jak gdyby raz jeszcze chciał się zabawić piłeczkami, które mimo swej atrakcyjności były mu długo obojętne. Wysokie aspiracje artystyczne ustąpiły miejsca tuzinkowej muzyczce, jaką obecnie gra na Zachodzie przynajmniej kilkaset niewiele różniących się brzmieniowo zespołów. Z dawnej sławy Johna Mayalla pozostała tylko legenda, nie znajdująca niestety pokrycia w dzisiejszej twarzy, chyba nazbyt zmęczonego lidera. Koncert, który miał być sensacją muzyczną, jakiej jeszcze w Lublinie nie słyszeliśmy, okazał się tanią w treści i formie dyskoteką z migającymi światłami, hałasem decybeli i żenującym tłumem tancerzy.